Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

1905
1980

NR 25 (1176) ROK XXIII 22 CZERWCA 1980 R. CENA 3 ZŁ

„NIESIE ON ZEMSTY GROM"

JULIAN TUWIM KWIATY POLSKIE

/FRAGMENTY/

Piotrkowska, w stronę Grand Hotelu,
Jak wymieciona. Przed tramwajem
Beczki i skrzynie, a za nimi,
Z browningiem w ręku, przyczajeni
Klęczą bojowcy patrząc w szarą,
Bezludną przestrzeń trotuaru
I pustą jezdnię. Nic. Martwota.
Cisza i tam – bo z morza tłumu
Nic nie usłyszysz prócz poszumu
Przybywających gromad ludzkich,
Co napływają od Widzewa,
Żeby na rynek iść bałucki:
Z Głównej, Nawrotu i Przejazdu
Strugami się w Piotrkowską wlewa
Burzliwy za przewałem przewał,
Zmierzając ku Staremu Miastu;
Ale się mało kto przepycha
Pod Meisterhaus i pod Ulricha,
Bo stamtąd, aż po barykadę,
W jedną się szczelną zbił gromadę
Milczący tłum, przy głowie głowa,
Jakby głowami wybrukował...
(...)
Ja, skamieniały na balkonie,
W to jedno oczy mam utkwione:
W owo czerwone na wagonie.
Wtem z krańca pustki w naszą stronę,
Od Benedykta, od Zielonej,
Sypnęło drobne, rozproszone...
Przy każdym ostry punkcik stali.

Truchcikiem sypią, mętni, mali,
Lecz rosną – już się ludzimi stali,
Sztykami prują pas martwoty,
Już rotą stali się piechoty
W krasnych lampasach furażerek.
Stanęli. A na czele roty
Maleńki, skoczny oficerek.
(...)
Jekaterynoburskie zuchy
(37 pułk piechoty)
Bezmyślnie patrzą w niemy, głuchy
Tłum.
Tylko czasami któryś zerknie
W bok,
Śledząc za małym oficerkiem.
I cisza, ciągle jeszcze cisza
Trwa.

Trzasnęło krótko. To koperta
Zegarka pana oficerka.
Właśnie minęło przed sekundą.
Więc chowa go, obciąga mundur,
Po szablę sięga dłoń malutka
I wtedy – nikły ruch podbródka,
A rota – jednym zamków szczękiem,
Jednym podrzutem – broń pod szczękę
I gdy wyświsnął szablę z brzękiem,
Gruchnęło nagle spod tramwaju,
Od skrzyń, od beczek poszło grzmotem,
Zagrało jak piorunem w maju,
Stalowym sypie się terkotem,
Płasnęła szabla ciętym lotem
I – „rota pli!" – i plusnął z roty
Deszcz ołowiany, ale złoty,
Bo salwą blasków trysło z luf –
I zawył z bólu mur ponury,
Pękł, wzbił się w górę, stoczył z góry
I kamienice szare plami,
Odchłysnął tłum rozbiegiem rojnym,
Mrowiskiem biega niespokojnym,
Wre jak kipiący kocioł smoły
I oszalałe czarne pszczoły:
Chmarami ulatuje w bramy
Lub miota wrzątku odpryskami
I kamienice szare plami,
– I biją, trzeszczą, nie ustają
Celne browningi spod tramwaju.
(...)
...Ulica czarna, w oczach czarno,
Jakby się całe miasto wparło
Między dwa rzędy szarych domów,
I z okien krzyk, i tłok z balkonów
W jedną się czarną wrzawę zlewa,
I domy, oblepione mrowiem,
Idą, dach w dach i głowa w głowę,
Dumnym pochodem trzypiętrowym
I już kołysze się nasz dom,
I płynie, morzem uniesiony,
A za sztandarem ciągnie śpiew:
„Niesie on
zemsty grom
ludu gniew,
Przyszłości rzucając siew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew,
Bo na nim robotników krew"...

Rys. Janusz Szymański-Glanc

75 LAT TEMU

ŁÓDŹ CHCIAŁA KRWI KATÓW

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Napięcie rewolucyjne w Łodzi w czerwcu 1905 roku osiągnęło szczyt. Teraz trzeba było tylko iskry, od której wybuchłby płomień. Taką iskrą stały się wydarzenia z 18 czerwca 1905 roku. Tego dnia wieczorem, a była to niedziela, ludzie tłumnie wracali z majówki z lasu łagiewnickiego. Nad pięciotysięcznym tłumem powiewały czerwone sztandary. Śpiewano pieśni rewolucyjne. Kierowano się w stronę Kościelnej.

Patrol składający się z 6 kozaków, 18 dragonów i jednego konnego policjanta zepchnął tłum w stronę Rynku Bałuckiego, próbując go rozproszyć. Wojsko obrzucono kamieniami i ostrzelano z rewolwerów. Kozacy i dragoni też nie próżnowali. Jak to później obliczył skrupulatnie jakiś żandarm **„kozacy dali 54 strzały, dragoni 33 i policjanci 29 strzałów".** Do wojska — jak to również wynika z obliczeń owego skrupulanta — **„padło ponad 150 strzałów, a prócz tego rzucono mnóstwo kamieni, których na ulicy pozostały całe stosy".** Te **„około 150 strzałów"** i mnóstwo kamieni nie wyrządziło wojsku większej szkody, skoro tylko **„kontuzjowano 4 kozaków i 1 dragona".**

Wśród demonstrantów, którzy spokojnie wracali do domu z niedzielnej majówki, **„było 5 zabitych i 11 rannych".** Pogrzeb zabitych wyznaczono na 20 czerwca 1905 roku. Policmajster m. Łodzi, radca stanu I. Chrzanowski raportował gubernatorowi piotrkowskiemu M. Arcimowiczowi, że wyznaczył na pogrzeb **„porę od godziny 1 i pół do 5 po południu, jako mniej niebezpieczną ze względu na zmniejszony ruch uliczny"** i że **„zostanie to oznajmione krewnym zabitych nie wcześniej jak o pierwszej po południu, kiedy robotnicy wrócą do fabryk po pracy po przerwie obiadowej"** oraz że wyznaczył takie trasy, aby pogrzeby mogły się odbyć jak najspokojniej i najmniej licznie. Ale zawiódł się w swoich rachubach.

Od dłuższego czasu można było obserwować w Łodzi niebywałą prężność mas robotniczych, błyskawicznie rozchodzące się wśród robotników wiadomości, szybkość w gromadzeniu się i rozpraszaniu. Ujawni to się następnego dnia po pogrzebie, kiedy samorzutnie zacznie organizować się pokojowa demonstracja, protestująca przeciw tajemnemu pochowaniu przez policję dalszych ofiar niedzielnego starcia z policją, kiedy zacznie się łódzkie powstanie czerwcowe. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Robotnicy zwiedzieli się o pogrzebie i tłumnie stawili się. Porzucano pracę w fabrykach już około godziny 11 i tłumnie maszerowano na miejsca pogrzebów. Kondukt z ul. Jakaterynburskiej (ul. Jerzego) miał iść na Doły ul. Konstantynowską (Obrońców Stalingradu) i Średnią (M. Nowotki), aby nie przejść koło fabryki I. Poznańskiego na Ogrodowej. Ale kondukt ten przedarł się przez szeregi wojska i przemaszerował ul. Ogrodową, dołączając do pozostałych czterech, które gromadziły się na ul. Zawadzkiej na Bałutach (ul. Zawiszy). W czasie przedzierania się przez kordony wojskowe robotnicy niosący trumnę — jak relacjonował policmajster Łodzi I. Chrzanowski — **„upuścili ją i nieboszczyk wypadł z trumny, a następnie włożony został do niej przez policjantów".**

Jeden wielki kondukt pogrzebowy, niosący pięć trumien, spokojnie zmierzał ku cmentarzowi we wsi Doły. Nad konduktem powiewały czerwone i czarne sztandary. Śpiewano pieśni rewolucyjne. Wznoszono okrzyki. Przemawiano. Cała trasa, którą szedł kondukt obstawiona była wojskiem.

„Wojska towarzyszące konduktowi — donosił swojej zwierzchności policmajster I. Chrzanowski — **odnosiły się do tych manifestacji biernie, policja zaś nie miała siły, by położyć im kres".**

Ta rzekoma bierność wojska wywołała różne kontrowersje. Uważa się, jak to pisze w książce **„Łódź w latach rewolucji 1905—1907"** Wł. L. Karwacki, że **„stosunek wojska, które biernie przyglądało się manifestacji, zachęcił robotników do dalszych incydentów".** Jest w tym jednak — jak sam autor to przyznaje — tylko drobna część prawdy. Atmosfera w Łodzi była już tak mocno naładowana, że wszystko wydawało się sprzyjać rewolucyjnemu zrywowi, wszystko mogło go spowodować.

Zresztą i po drugiej stronie, w gabinetach dowódców wojskowych i policjantów również zastanawiano się nad przyczyną bierności wojska. Dowódca garnizonu łódzkiego, generał-major Ekstern prosił policmajstra I. Chrzanowskiego, aby ten zameldował gubernatorowi M. Arcimowiczowi, że **„Jego Ekscelencja dowódca wojsk Warszawskiego Okręgu Wojskowego na jednym z oficjalnych przyjęć dowódców oddziałów wojskowych rzekomo zalecał im patrzeć przez palce na demonstracje wyrażające się w niesieniu sztandarów i śpiewie pieśni rewolucyjnych i nie tłumić takich demonstracji przy użyciu broni...".**

Ale już w dzień po pogrzebie pięciu ofiar niedzielnego starcia z wojskiem, a więc 21 czerwca 1905 roku gubernator piotrkowski M. Arcimowicz wydał dokładniejsze instrukcje dla walki z demonstracjami:

„W tych zaś wypadkach, gdy tłum rozwija czerwone sztandary i w ogóle otwarcie występuje jedynie w celu zakłócenia porządku i wyrażenia w ten sposób protestu przeciwko istniejącemu ustrojowi, należy podjąć wszelkie kroki w celu rozproszenia tłumu unikając do ostatecznej możliwości użycia broni, w razie zaś stawienia przez tłum zbrojnego oporu nie należy cofać się przed użyciem broni".

I tak się stało 21 czerwca 1905 roku.

Dzień zapowiadał się pogodnie. „Rozwój" doniósł, że słońce wzeszło o godz. 3.39, a zajdzie o godz. 20.24. Dzień ten, a była to środa, trwał 16 godzin i 45 minut. Imieniny obchodzili Alojzy i Domysław.

Zaczęły się już wakacje. Następnego dnia przypadało Boże Ciało. Wśród ogłoszeń zamieszczonych w „Rozwoju" tego dnia można było znaleźć zapowiedzi różnych imprez oraz wyjazdów na wakacje. Między innymi znalazł się tam anons następującej treści: **„Kobieta — lekarz dr Eugenia Zeligson wyjechała".** Inni podawali, że wyjechali na wywczasy i że wracają za dwa, trzy tygodnie, albo i za miesiąc. W parku Helenowskim miały odbyć się w Boże Ciało dwa koncerty: poranny o godz. 6 i popołudniowy o godz. 16. Na ten pierwszy wstęp kosztował 15 i 10 kop., a na ten drugi — 25 i 10 kop.

W środę natomiast, 21 czerwca 1905 roku, o godz. 19 w ogrodzie Grand Hotelu przygotowywano koncert zespołu śpiewaczego

Dalszy ciąg na str. 3

11 CZERWCA, NIEDZIELA,
ZIELONE ŚWIĘTA

I. Na podniesieniu wzniesionym na żwirowanym placyku koncertuje orkiestra wojskowa grając walca „Na sopkach Mandżurii". Kapelmistrz od czasu do czasu salutuje znajomym promenującym po ścieżkach lub siedzącym na ławkach. Pod dachem niedalekiej altany siedzą przy stolikach panie i panowie chłodząc się lemoniadą lub po prostu piwem. Lemoniadę pije siedząca przy jednym ze stolików Pani; jej towarzysze: Elegant i Solidny wolą piwo.

ELEGANT — A w Iwanowie-Wozniesiensku ciągle strajkują.

SOLIDNY — Różnie mówią.

ELEGANT — Słowo honoru; ja mam dobre informacje. Łódź mogłaby na tym strajku zarobić.

SOLIDNY — Jak? A u nas nie strajkują?

ELEGANT — Ale nie tak jak tam. Tam od paru tygodni wszystkie fabryki stoją.

PANI — Gdzie?

SOLIDNY — W Rosji, duszko. Daleko.

ELEGANT — Nie powinna pani zaprzątać tym sobie główki.

PANI — Kiedy nudno. Na placu miały być karuzele. Zawsze w Zielone Świątki były a dziś nie ma.

SOLIDNY — Przecież wiesz, co się w mieście dzieje.

PANI — Nudno.

ELEGANT — Co do mnie to wolę orkiestrę. Te trąby tak się świecą w słońcu...

Elegant unosi się z krzesła i kłania się komuś.

Spacerujący w towarzystwie Doktora i Gospodyni Gospodarz odpowiada na ukłon. Doktór robi to samo.

DOKTOR — Któż to nam się kłania?

GOSPODARZ — Kolega z biura. Siedzi z naszym plenipotentem i jego żoną.

DOKTOR — Ta pani nie wygląda na zdrową.

GOSPODYNI — Czy pan o niczym innym niż o chorych myśleć nie może, panie doktorze?

DOKTOR — Czemu nie, mogę. Opowiem dobry witz o Poznańskim, fundatorze szpitala w którym pracuję, a więc moim pryncypale. Kiedy budował on swój pałac, pomyślał, że po to aby wszyscy wiedzieli kim jest Poznański wielka sala winna być wyłożona złotymi imperiałami. Nie był tylko pewien jaką stroną należy przylepiać monety do ściany: godłem państwa czy portretem cara. Pomyślał i napisał do Petersburga z prośbą o pozwolenie i wskazówki. Po pewnym czasie dostał odpowiedź: owszem, może wyłożyć ściany imperiałami ale stawianymi na sztorc. Dobre, co?

GOSPODYNI — Brodate, panie doktorze. Słyszałam to już dawno.

DOKTOR — No to co? Od tego się nie zepsuło.

II. Jadalnia w fabrykanckim pałacu. Przy suto zastawionym stole, obsługiwani przez lokajów — Prezes, Dyrektor, Chrzanowski i Szewiakow.

PREZES (do Chrzanowskiego) — Panie radco, polecam tego sterleta. Wczoraj przysłano mi go z Astrachania w beczce z lodem.

CHRZANOWSKI — Rad skosztuję.

PREZES (do Dyrektora) — Pan coś mówił, panie dyrektorze?

DYREKTOR — Czytałem, że admirał Rożestwieński przebywa w jakimś japońskim szpitalu i odzyskał już przytomność. Podobno jednak jest rozstrojony i czasem gorzko płacze.

PREZES — Admirał płacze? Prawda, że przegrał bitwę i stracił flotę, ale...

SZEWIAKOW — Zapewniam, panie prezesie, że rosyjscy admirałowie nie płaczą. Ci francuscy pismacy nie są nam życzliwi i wymyślają bóg wie co.

PREZES — Może.

CHRZANOWSKI — Sterlet palce lizać... Przepraszam, że spytam: czy nie sądzi pan, panie prezesie, że pozbawienie pracy 5.000 ludzi może zaognić sytuację?

PREZES — Zarząd nie może tolerować nieuzasadnionych roszczeń pracowników i poniżania majstrów czy inżynierów...

SZEWIAKOW — Słusznie!

PREZES — ... a panowanie nad sytuacją to już sprawa panów. Wasze zdrowie! Komu mam kłaniać się w Berlinie?

CHRZANOWSKI — Przede wszystkim szanownej małżonce.

SZEWIAKOW — Kiedy pan preses wraca?

PREZES — Dokładnie nie wiem.

CHRZANOWSKI — W sprawach zakładów decydował będzie pan dyrektor?

PREZES — Oczywiście. (spojrzał na Dyrektora) w granicach swoich kompetencji.

12 CZERWCA, PONIEDZIAŁEK,
JANA, ONUFREGO

III. Żwirownia gdzieś pod miastem. W dole, na skarpie piachu siedzą słuchacze jak w amfiteatrze a przed nimi stoi Prelegent.

PRELEGENT — ... Nowy satrapa Królestwa, Maksymowicz, wiernie spełnia dany mu rozkaz cara „stanowczego stłumienia rozruchów". Upamiętnił on już swe rządy rzezią na ulicy Długiej w Warszawie, gdzie spokojne zgromadzenie towarzyszy Żydów, którzy chcieli uczcić pamięć jednego z męczenników sprawy robotniczej zmarłego w więzieniu, zostało rozproszone za pomocą salw karabinowych. Sławny oręż rosyjski znów odniósł jedno ze zwycięstw nad wrogiem wewnętrznym. Aresztowanych bito w nieludzki sposób i okrutnie znęcano się nad nimi. Nowy rządca Królestwa nie darmo był atamanem kozaków dońskich; chce on i w Królestwie gospodarować również po kozacku...

FRANELCZYK — Kozacy najgorsi.

OJCIEC — Wszyscy oni tacy sami. W naszej fabryce wojsko siedzi już od tygodnia.

ZATROSKANY — U nas też.

PRELEGENT — Wojsko, towarzysze, wkroczyło do fabryk na żądanie fabrykantów. Trzeba o tym pamiętać.

OJCIEC — U Szajblera zamknęli fabrykę na Księżym Młynie, Chcą, żeby ludzie przeprosili tych majstrów, których na taczkach wywozili.

ZATROSKANY — A jak, towarzyszu, względem tych strajków? Strajkować czy nie?

PRELEGENT — Nasza partia, towarzysze, traktuje strajk jako instrument walki o zmianę rządu samowładnego, o prawo samostanowienia o sobie i o niepodległość Polski. Żądamy swobody zebrań i pism...

IV. Gabinet gubernatora piotrkowskiego. Kierownik Kancelarii referuje sprawy Arcimowiczowi.

KIEROWNIK (czyta) — „... Na rozkaz esauła półsotnia kozaków rozproszyła robotników, przy czym robotnicy rozbiegając się, padając i tratując się nawzajem doznali nieznacznych obrażeń. Ucierpiało 18 ludzi".

ARCIMOWICZ — Sami siebie poszkodowali.

KIEROWNIK — Wasza Ekscelencja każe poprawić?

ARCIMOWICZ — Czytajcie dalej.

KIEROWNIK — ...„Rozproszeni robotnicy udali się częściowo do fabryki, a inni spostrzegłszy za fabryką kąpiących się w stawie trzech kozaków, rzucili się na nich z krzykiem i zaczęli obrzucać ich kamieniami. Kozacy wyskoczywszy z wody chwycili leżące na brzegu karabiny i oddali trzy strzały, raniąc lekko jednego z robotników. Tłum rozszedł się potem na swoje miejsce w fabryce a po pracy spokojnie opuścił fabrykę."

ARCIMOWICZ — Wszystko?

KIEROWNIK — Wasza Ekscelencja raczy podpisać.

ARCIMOWICZ — Niech to podpisze pan vicegubernator. To sprawa sprzed jedenastu dni a generał-gubernator Maksymowicz już o niej wie. Co tam jeszcze?

KIEROWNIK — Depesza z kancelarii generał-gubernatora.

ARCIMOWICZ — Czytajcie.

KIEROWNIK — „Generał-gubernator na prośbę niemieckiego konsula prosi o podjęcie kroków w celu ochrony osób i mienia narodowości niemieckiej w związku z rozruchami w okręgach fabrycznych guberni piotrkowskiej." Podpisał p.o. dyrektor Jaczewski.

ARCIMOWICZ — Znów konsul... Mienie narodowości niemieckiej... Przekażcie odpowiednie polecenia policmajstrom i naczelnikom powiatów.

V. Popołudnie. W lesie łagiewnickim szerokim duktem idzie gromada ludzi. Zaimprowizowali sobie czerwony sztandar, idą wesoło, gwarnie, próbują śpiewać „Na barykady", ale wychodzi im to niezbyt składnie.

Po chwili ten ni to pochód, ni bezładna grupa procesyjna dochodzi do głównej drogi i skręca w nią. Kroczący w pierwszych szeregach spostrzegają, że naprzeciw im idzie samotny żandarm. Ludzie, którzy go spostrzegli milkną i przystają. Żandarm staje także.

Wychodzący z lasu naciskają na czoło gromady i zmuszają towarzyszy do dalszego marszu. Śpiewy jednak ucichły: gromada i żandarm zbliżają się do siebie w milczeniu.

Są już zupełnie blisko.

ŻANDARM — Rzucić tę szmatę!

Gromada staje.

GŁOS z GROMADY — Ty, czapkę zdejm przed sztandarem!

Żandarm rzuca się ku Chorążemu. Kilku manifestantów wysuwa się przed sztandar i staje murem.

Żandarm stanął, wyciągnął szablę z pochwy.

ŻANDARM — dawaj tę szmatę!

Manifestanci stoją bez ruchu.

ŻANDARM — Nie dasz? Ja ci pokażę!

Z podniesioną szablą żandarm szarżuje gromadę. Jest już blisko Chorążego kiedy rozlega się strzał. Żandarm pada na drogę.

Z gromady wyskakuje Młody i przyklęka nad powalonym.

MŁODY (spogląda na towarzyszy) — Poszedł do Bozi. (wyciąga z kabury zabitego rewolwer i zatyka go za pasek).

13 CZERWCA, WTOREK
LUCJANA, ANTONIEGO

VI. Hala niewielkiej tkalni na parterze. Przez otwarte okno widać podwórze, a na nim żołnierzy ćwiczących musztrę.

Wojciechowska rozgląda się, odchodzi od krosna i staje w oknie. Przygląda się ćwiczącym, którzy i na nią zwracają uwagę. Dziewczyna nie zauważa, że na salę wchodzi majster i podchodzi do niej.

MAJSTER — Za to ci płacą?

WOJCIECHOWSKA — Słabo mi się zrobiło, panie majster...

Do Majstra podchodzi Zatroskany i stuka go lekko w ramię. Majster ogląda się.

ZATROSKANY (z uśmiechem i naciskiem) — Daj jej pan spokój, panie majster. Ma pan przecież swoją robotę.

Majster zmieszał się, popatrzył po sali i odchodzi. Wojciechowska znów wygląda na podwórze, gdzie zarządzono przerwę w ćwiczeniach: podoficer dokądś odszedł, a żołnierze poustawiali broń w kozły i posiadali pod murem.

WOJCIECHOWSKA — Ej, chłopcy...

Dwaj najbliżej siedzący żołnierze spoglądają w stronę okna. Wojciechowska ruchem ręki zaprasza ich do hali a oni patrzą po sobie niepewnie.

WOJCIECHOWSKA — Co, wojaki, boicie się?

Jeden z żołnierzy wstaje, rozgląda sie i włazi przez okno do hali; po chwili drugi robi to samo. Wojciechowska ruchem ręki prezentuje im tkalnię.

WOJCIECHOWSKA — O, tutaj robimy.

Prowadzi żołnierzy do krosna, które wyraźnie zaciekawia gości. Zatroskany pokazuje im biegające czółenko.

ZATROSKANY — O, widzisz brat? Nitka tu chodzit. Tuda i siuda.

Żołnierze pochylają się nad krosnem. Wojciechowska wsuwa w dłoń jednego z

KRONIKA

nich ulotkę. Żołnierz prostuje się, spogląda na ulotkę a potem na dziewczynę bacznie, nieufnie.

WOJCIECHOWSKA (z promiennym uśmiechem) — Gramotny?

Żołnierz I — Kanieczno.

WOJCIECHOWSKA — No, to poczytaj. (mruga okiem)

Żołnierz uśmiecha się porozumiewawczo.

14 CZERWCA, ŚRODA.
ELIZY, BAZYLEGO

VII. Szopa ze starymi pakami. Ciemnawo i ciasnawo bo upchało się tu kilkunastu ludzi. Na jednej z pak stoi Agitator.

AGITATOR — ...I gdzie była nasza burżuazja gdy rząd carski swą zbrodniczą polityką wywołał obecną wojnę, która wtrąciła w otchłań ruiny i nędzy całe państwo i nasz kraj? Tylko robotnicy wołali na demonstracjach publicznych: precz z wojną, a nasza burżuazja nie przestawała czołgać się na brzuchu przed tronem cara-mordercy, przed tronem despotyzmu rujnującego przemysł i handel. A teraz, kiedy robotnicy domagają się chleba i wolności, kiedy strajkują aby zdobyć sobie choć trochę lepszy byt, teraz burżuazja krzyczy, że to robotnicy szerzą zniszczenie i anarchię a nie rząd carski.

ROBOTNIK I — To znaczy: strajkować?

AGITATOR — Strajk, towarzysze, jest najsilniejszą bronią klasy robotniczej.

CHUDY — A co z policją i wojskiem?

AGITATOR — Nie rozumiem o co wam chodzi?

CHUDY — Czy policjantów trzeba bić?

CHORĄŻY — I żołnierzy. Pełno ich po fabrykach, ruszyć się nie można.

AGITATOR — Nieodległa jest, towarzysze, chwila, gdy płomień rewolucji ogarnie i wojsko, a wówczas robotnicy i żołnierze znajdą się w jednym szeregu.

15 CZERWCA, CZWARTEK.
WITA, JOLANTY

VIII. Redakcja gazety: redaktor i praktykant.

REDAKTOR (trzyma w ręku kartę) — Mamy komunikat od policmajstra. Musi wejść do dzisiejszego numeru. Będę tłumaczył a pan pisz (dyktuje) Urzędownie. „W położonej o ośm wiorst od Łodzi wsi Łagiewnikach znajduje się dawny klasztor, który od paru lat został zamieniony na kościół parafialny. W kościele tym przypada doroczny odpust Świętego Antoniego, na który przybywa olbrzymia ilość pątników. W tym roku pielgrzymka z powodu drugiego dnia Zielonych Świąt była liczniejsza niż w innych latach: zebrało się więcej niż 12.000 pielgrzymów." Na diabła to komu?

PRAKTYKANT — Co?

REDAKTOR — Nic. Pisz pan dalej. „Po nabożeństwie, do będącego na służbie żandarma Jana Primoczenko dano znać, że od strony lasu zgierskiego nieopodal wsi Modrzejewice..."

PRAKTYKANT — Modrzew a nie Modrzejewice.

REDAKTOR — Pisz pan Modrzejewice jak pan policmajster tego sobie życzy. „...Modrzejewice idzie tłum złożony z kilkuset ludzi. Żandarm zwrócił się do policjantów stojących przed kościołem z żądaniem, aby wyszli na spotkanie zbliżających się. Strażnicy odpowiedzieli, że nie mogą opuszczać swych stanowisk gdyż i tu mają do pilnowania przeszło 12.000 ludzi. Wtedy Primoczenko udał się sam i na drodze z Łagiewnik do Modrzejowic ujrzał

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER TADEUSZ BIAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

CZERWCOWYCH DNI

EDWARD SZUSTER

tłum Żydów ze sztandarem czerwonym. Tłum spieszył w stronę Łagiewnik. Primoczenko zarządał aby tłum się rozszedł, za to tłum nawoływał na żandarma aby przed czerwonym sztandarem uchylił czapki, a kiedy żandarm odmówił posypał się na niego grad kamieni. Żandarm padł raniony, tłum dobył szabli..."

PRAKTYKANT — To tłum miał szablę?

REDAKTOR — Co to pana obchodzi. „Tłum dobył szabli i zadał mu ciężkie rany wypruwając mu kiszki. Jan Primoczenko nie mógł strzelać do ludu ponieważ znaleziono przy nim pustą pochwę od rewolweru, rewolwer zaś zostawił w domu u żony, gdzie go też znaleziono."

PRAKTYKANT — Kogo?

REDAKTOR — Napisał pan?

PRAKTYKANT (podaje tekst) — Napisałem. Przecież to nie tak było.

REDAKTOR — Nie ważne jak, ważne, że urzędownie.

16 CZERWCA. PIĄTEK
ALINY, ANETY

IX. Niewielki kantor: przy stołach pracują Elegant i Gospodarz a Solidny dogląda ich siedząc w oszklonej kabince.

ELEGANT — Proszę posłuchać, panie prokurencie, co piszą w „Rozwoju" (czyta) „Robotnicy Towarzystwa Akcyjnego Szajblera zawiadamiają nas, że nie mogli ułożyć się z przedstawicielami Towarzystwa dla tej prostej przyczyny, że cały Zarząd bawi za granicą." Sprytnie, co?

GOSPODARZ — Kto sprytnie?

ELEGANT — A Zarząd. Wyjechali i koniec. Nie ma z kim gadać.

SOLIDNY — Wszyscy tak robią. Poznańskiego też w Łodzi nie ma.

Chwila milczenia i przerzucania papierów.

GOSPODARZ — Co panowie myślą o propozycji prezydenta Roosevelta?

ELEGANT — A co on proponuje?

SOLIDNY — Nie wie pan? Chce pośredniczyć między Rosją a Japonią i doprowadzić do rokowań pokojowych.

ELEGANT — A prawda. Słyszałem.

Do kantoru wchodzą: Zajdel, Chudy i Robotnik II. Zajdel wymienia porozumiewawcze spojrzenia z Gospodarzem, który wzrokiem wskazuje mu Solidnego. Zajdel podchodzi do klitki; dwaj jego towarzysze zostają przy drzwiach z prawymi rękoma w kieszeniach.

ZAJDEL — W imieniu Komitetu Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy proszę o wydanie znajdujących się w tym kantorze dwóch pistoletów.

SOLIDNY — To jakaś pomyłka...

CHUDY — Mamy poszukać? Sprawdzić?

SOLIDNY — Czy dostanę jakieś pokwitowanie? Panowie rozumieją, że odpowiadam materialnie...

ZAJDEL — Pokwitowanie możemy dać.

CHUDY — Ale najpierw towar.

Solidny bez słowa otwiera szufladę biurka i odstępuje od niego na znak, że nie bierze udziału w całej sprawie.

SOLIDNY — Proszę, tu jest wasz towar, panowie.

Zajdel wchodzi do kabinki i zabiera pistolety.

SOLIDNY — Słyszałem, że SDKPiL nie uznaje terroru.

ZAJDEL — Ale musi bronić się przed terrorem burżuazji posługującej się policją i wojskiem.

17 CZERWCA SOBOTA.
LAURY, MARCJANA

X. Gabinet policmajstra Chrzanowskiego. Chrzanowski w fotelu za biurkiem, przed biurkiem na krześle dość sztywno siedzi Komisarz.

CHRZANOWSKI (przegląda jakieś zestawienie) — No i popatrz, Siergieju Maksymowiczu, we wtorek przystąpiło do pracy przeszło 7.000 ludzi, tak że strajkowało tylko sześć i pół a dziś, to znaczy po trzech dniach, znów ponad jedenaście tysięcy nie pracuje i czegoś się tam domaga.

KOMISARZ — Wiadomo czego, Wasza Wielmożność. Jedni strajkują a inni broń gromadzą.

CHRZANOWSKI — Broń?

KOMISARZ — Wczoraj w firmie Majster esdecy zarekwirowali dwa browningi.

CHRZANOWSKI — Jak dwa to jeszcze można wytrzymać. Śledztwo wdrożyłeś Siergieju Maksymowiczu?

KOMISARZ — Obowiązkowo. Wdrożyłem i przyjdzie je umorzyć, bo niczego się przecież nie dowiem. Urzędnicy widzieli tych co rekwirowali, ale niczego nie powiedzą. Ze strachu, albo i nie ze strachu.

CHRZANOWSKI — Jak trzeba będzie umorzyć to umorzysz, tylko żeby mi było zgodnie z przepisami.

KOMISARZ — Ma się rozumieć, Wasza Wysokość.

CHRZANOWSKI — A jutro przyjdzie ci odwiedzić proboszczów w twoim cyrkule i pogadać z nimi.

KOMISARZ — U mnie tylko jeden kościół.

CHRZANOWSKI — To pogadasz z jednym proboszczem. W przyszły czwartek przypada to ich Boże Ciało, kiedy to procesje po mieście chodzą. W tym roku procesji po mieście nie będzie, tylko wokół kościoła. Gubernator i biskup tak uradzili, żeby jacyś wichrzyciele zamieszania nie narobili. Przypomnisz proboszczowi i o tym, i o tym, że w Boże Ciało policja na ulicę nie wyjdzie; proboszcz musi razem ze swoimi wiernymi ład koło kościoła utrzymać.

KOMISARZ — To dobrze, Wasza Wysokość. Ludzie się ucieszą z lżejszej służby.

18 CZERWCA, NIEDZIELA
MARKA, ELŻBIETY

XI. Polana w lesie łagiewnickim. W południowym słońcu ciżba robotników, którzy rozsiedli się jak kto mógł i słuchają Prelegenta.

PRELEGENT — ...My, robotnicy polscy, idziemy ręka w rękę z robotnikami rosyjskimi. Musimy jednak pamiętać, że klasa robotnicza w Rosji jest nieliczna i zacofana, a my mamy też swe własne odrębne cele. Jesteśmy częścią narodu podbitego i uciskanego i zbyt mocno czujemy ucisk narodowy, abyśmy mogli nie zwracać nań uwagi. Nie chcemy w Polsce mieć ani rządów samowładnego cara, ani obcego nam petersburgskiego zgromadzenia prawodawczego, którego domagają się Rosjanie. Chcemy mieć własny rząd polski, ze zgromadzeniem prawodawczym w Warszawie! Precz z caratem!

Gorący aplauz znacznej części audytorium.

MŁODY (bijąc brawo) — Dobrze mówi!

Stojący przy Młodym Zajdel sceptycznie spogląda na sąsiada.

FRANELCZYK — Niech żyje PPS.

Znów aplauz. Na miejsce prelegenta staje Agitator i ruchem ręki prosi o ciszę.

AGITATOR — Towarzysze! Robotnicy muszą walczyć nie tylko z despotyzmem cara, ale także z despotyzmem kapitału; muszą walczyć o wolność polityczną a także o ośmiogodzinny dzień pracy i lepszą płacę. Strajki w całym kraju i w całym państwie są oznaką, że dla nas, robotników, niemożliwa jest walka o wolność bez walki o lepszy byt. Niech się nie łudzi burżuazja myślą, że nowoczesna klasa robotnicza będzie zdobywać wolność burżuazyjną, a dla siebie pozostawi dotychczasową nędzę i życie w upodleniu. W obecnej dobie tylko klasa robotnicza może obalić carat, ale mrzonką burżuazji jest, że rewolucja robotnicza zrezygnuje z walki z wyzyskiem i z ciągłych strajków. Prawdziwie rewolucyjna partia nie może stawiać sobie burżuazyjnych zadań, ani nie może liczyć na poparcie klas posiadających! Niech żyje rewolucja!

Aplauz części audytorium. Młody z zapałem klaszcze.

ZAJDEL (bijąc brawo) — Temu też klaszczecie?

MŁODY — A co, dobrze mówił.

XII. Salon w mieszkaniu gubernatora W salonie poobiednie odprężenie: Arcimowicz pogrążony w błogostanie siedzi w fotelu i pali papierosa; jakaś młoda dziewczyna — pewno jego córka — brzdąka na fortepianie.

Pukanie do drzwi

ARCIMOWICZ — Co tam?

Do salonu zagląda Kierownik Kancelarii.

ARCIMOWICZ — Kiryle Iwanowiczu, cóż ty tu robisz w dniu świętej niedzieli?

KIEROWNIK — Ekscelencja raczy wybaczyć, ważna depesza.

ARCIMOWICZ — Jak ją przeczytam jutro to też będzie ważna.

KIEROWNIK — Do rąk własnych Ekscelencji. Z ministerstwa.

ARCIMOWICZ (zrezygnowany wstał, skłonił się paniom) — Vous permetez. mesdames... (Wychodzi z salonu do gabinetu, w którym czeka Kierownik) — No, co tam jest?

KIEROWNIK — Do rąk własnych...

ARCIMOWICZ — Kiryle Iwanowiczu, jesteś moją prawą ręką, czytaj.

KIEROWNIK — Pokornie dziękuję. (czyta) „Podaję do wiadomości panom gubernatorom iż w Odessie, na pancerniku „Kniaź Patiomkin Taurydzki" stojącym na redzie w Odessie wybuchł bunt. Zbuntowani marynarze zabili kilku oficerów i opanowali statek. Jest możliwość, że do buntu przyłączą się odescy robotnicy".

ARCIMOWICZ (po chwili) — Ech, Kirylle Iwanowiczu, ciężko nas doświadcza ta wojna. Trzeba ją jak najprędzej kończyć.

KIEROWNIK — Na szczęście nie ma u nas w guberni okrętów.

ARCIMOWICZ — Mamy za to Łódź.

KIEROWNIK — Tam, chwalić Boga, spokojniej.

XIII. Okolice Bałuckiego Rynku. Ulicą idzie buńczucznie i wesoło część uczestników „majówki". Nad głowami ludzi parę czerwonych sztandarów z napisami PPS, SDKPiL, „Bund". Kroczący w pierwszym szeregu „zapiewajło" śpiewa.

SOLISTA — Hej, wy! hej wy, robotnicy!
Co to wy myślicie?
Zakładają wam fabryki,
Wynagradzają sowicie!

Parę nieskładnych głosów odpowiada

CHÓR — Wynagradzają sowicie?
Wszystkie zyski dla nich płyną!
A w zapłatę za pot nasz krwawy
Dzieci nasze z głodu giną.

SOLISTA — Hej wy! hej wy, robotnicy!
W piekle gorzeć będziecie po uszy!

Śpiewak urywa, bo z najbliższej, poprzecznej ulicy wyjeżdża naprzeciw ciżbie 18 dragonów, którzy szeregiem zajmującym całą szerokość ulicy zbliżają się do „majówkarzy". Za dragonami konny policjant.

Tłum stanął, zamilkł. Dragoni podjechali o kilkanaście kroków i zatrzymali się.

POLICJANT (zza dragonów) — Rozejść się!

Chwila bezruchu. Z tylnych szeregów kilka osób wymyka się do bramy.

POLICJANT — Rozejść się, bo każę strzelać.

W ciżbie poruszenie i kilkanaście osób zmyka, większość skupia się przy sztandarach i zbliża do pierwszego szeregu. Dwaj robotnicy unoszą prelegenta, który siada na ich ramionach.

PRELEGENT — Bracia żołnierze! Spójrzcie — oto nie ma na żadnym z nas całego surduta, wszyscyśmy tylko szary tłum roboczy, który chciał jeno więcej chleba dla siebie i dla was. Czy w odpowiedzi na to wołanie poślecie nam kulę w piersi? Przecież zanim włożyliście te mundury, byliście robotnikami, a kiedy je złożycie, znów nimi będziecie...

POLICJANT — Strzelaj! Za Primoczenkę strzelaj!

PODOFICER — Oddział, ognia!

Dragoni jak na mustrze podnoszą o siodła oparte karabiny i dają salwę.

(Fragmenty scenariusza przygotowanego dla telewizyjnego Teatru Faktu)

Dalszy ciąg ze str. 2

„Lutnia", a w Teatrze Wielkim o godz. 20.45 miało się odbyć przedstawienie sztuki Michała Bałuckiego „Radcy pana radcy". Dochód z tego przedstawienia miał być przeznaczony na „Kroplę mleka"". Poza tym, jak zwykle, czynne były różne ogródki. **„Cukiernia OGRÓD LIPOWY, Mikołajewska 40. Codziennie. KONCERT SOLISTÓW — TRIA. Wejście wolne. Robię starania usilne o wyborowe ochładzające napoje w zakres mojego fachu wchodzące, zapewniając szybką obsługę. Z poważaniem Ad. Müller".**

„OGRÓD MAJSTRÓW TKACKICH. Po otwarciu sezonu dziś i codziennie dawane będą KONCERTY przez orkiestrę wojskową Ekaterynburskiego pułku piechoty, pod batutą kapelmistrza Adamczyka. A. Baum".

Tego dnia (21 czerwca 1905 roku) obiegła miasto wieść, że w niedzielę, 18 czerwca, w starciu z policją padły jeszcze dwie ofiary, że policja pochowała je skrycie, aby nie dopuścić znów do demonstracyjnego pogrzebu. Wieść ta szybko obiegła miasto i ludzie zaczęli gromadzić się na ulicach. M. Arcimowicz, gubernator piotrkowski, relacjonując przebieg czerwcowych wydarzeń w Łodzi generał-gubernatorowi K. Maksymowiczowi podkreślił **„niezwykłą szybkość formowania się wielotysięcznej zwartej masy".** A zebrało się 70 demonstrantów, którzy wieczorem, około godziny 20 ruszyli **„Franciszkańską, Średnią** (M. Nowotki), **Nowym Rynkiem** (pl. Wolności) **i Piotrkowską w stronę południowej części miasta. Nad tłumem** — relacjonował dalej M. Arcimowicz — **powiewało mnóstwo sztandarów rewolucyjnych z polskimi i żydowskimi napisami, rozlegały się hymny rewolucyjne i nie milknące okrzyki antyrządowe".**

O godzinie 20.45, kiedy demonstracja dotarła do skrzyżowania ulicy Piotrkowskiej z ulicą Św. Karola (Żwirki) i Pustej (Wigury) została zaatakowana przez kozaków.

„Bez uprzedniego wezwania do rozejścia się dano salwy — relacjonuje naoczny świadek. — **Jednocześnie poczęto strzelać z bocznych ulic. (...) Tłum w szalonym popłochu rzucił się do ucieczki. Niektóre bramy były otwarte, inne wyłamywano, uciekano przez bramy, parkany, ogrody, przez przechodnie domy na ulicę Mikołajewską** (Sienkiewicza — przyp. L. W.). **W ścisku ludzie padali, podnosili się i znów padali, pchani potężną falą ludzką. Przed bramami utworzyły się stosy z ciał ludzkich (...), w które kozacy strzelali bez opamiętania. Zabijano kobiety i mężczyzn, starców i dzieci".**

Zastrzelono wtedy 21 osób, 8 było rannych, 10 stratowanych. Rannych było niewątpliwie więcej. Nie wszyscy bowiem zgłosili się po pomoc do lekarzy. „Rozwój" doniósł na przykład o znalezieniu trupa w jednym z ogrodów. Przypuszczano, że ranny dowlókł się do ogrodu, gdzie schronił się i zmarł z upływu krwi.

„Późno w nocy — pisał później „Rozwój", omawiając „Wypadki w Łodzi" w nr 138 z 24 czerwca 1905 roku — **karetki Pogotowia przejeżdżały szybko ku południowi miasta, gdzie rozlegały się strzały. Wezwano lekarzy z domów i cukierni, przerwano wszystkie widowiska"....**

Ale gazeta napisała to dopiero 24 czerwca. Dzień wcześniej ukazały się tylko następujące wzmianki, z których można było sądzić, że coś się w Łodzi wydarzyło:

„Telefon Łódź — Warszawa nieczynny. W Łodzi połowa drutów telefonicznych popsuta".

„Teatr. Zapowiedziane na wczoraj przedstawienie trupy teatralnej p. Glogera na korzyść „Kropli mleka" zostało przerwane".

„Koncert „Lutni". Środowy koncert „Lutni" w Grand Hotelu po wykonaniu paru numerów został przerwany".

„Straż ogniowa. Wszystkie oddziały straży ogniowej były dziś bardzo często alarmowane i używane do ognia; w niektórych wypadkach utrudniano dostęp".

Następnego dnia, 22 czerwca 1905 roku, w czwartek było Boże Ciało.

„W czwartek procesja Bożego Ciała przeszła bardzo spokojnie..." — relacjonował „Rozwój". Ale nastrój w mieście nie był wcale spokojny. I wojsko i policja dążyły do starcia z robotnikami, aby dać dowód swej siły. I robotnicy chcieli walki, napięcie było bowiem już nie do zniesienia, osiągało granice wytrzymałości.

„Szał ogarnął wszystkie serca: myśl o zemście przeświecała błyskawicą mózgi. ŁÓDŹ PO PROSTU CHCIAŁA KRWI KATÓW" — ta charakterystyka nastroju robotników z 22 czerwca 1905 roku wydaje się być najtrafniejsza.

Wł. L. Karwacki w cytowanej już książce zwraca uwagę, że lokalne władze BUNDU były przeciwne demonstracji z 21 czerwca i widziały niebezpieczeństwo konfrontacji mas z wojskiem. Podobne stanowisko zajmowały lokalne władze PPS. KŁ SDKPiL wezwał na 23 czerwca 1905 roku tylko do powszechnego strajku protestacyjnego, chociaż zdawano też sobie sprawę, że otwartej walce nie da się już przeciwstawić. Wierzono, że masy pchane wewnętrznymi potrzebami do walki same, kierowane instynktem klasowym, znajdą najlepsze jej formy.

„Towarzysze! — pisał KŁ SDKPiL w odezwie z 22 czerwca 1905 roku. — **Krew ta nie płynie daremnie, krew ta zagrzeje nas do dalszej walki, walki nieubłaganej. Krew ta będzie nam mąciła każdą chwilę, ani na sekundę nie pozwoli nam zapomnieć o walce śmiertelnej z absolutyźmem. Do walki więc! Niech przekona się nasz wróg, że rzeź energii naszej nie złamała, że dzisiaj jesteśmy silniejsi, groźniejsi niż wczoraj. Na ulicę bracia! Niech na cześć poległych staną, w piątek 23.VI. wszystkie fabryki i warsztaty, niech ustanie wszelka praca, niech zamrze wszelkie życie, niech ustanie wszelki ruch!".**

Nim odezwa dotarła do robotników Łodzi, zaczęli oni już walkę z wojskiem, zaczęli stawiać barykady.

22 czerwca 1905 roku o godzinie 22.23 policmajster I. Chrzanowski depeszował do Piotrkowa Trybunalskiego:

„Obecnie w dzielnicach żydowskich wywracają latarnie, wznoszą barykady, podpalono państwowy sklep monopolowy, dokonano napadu na urząd pocztowy. Na ulicach strzelanina do wojska i policjantów, strzelają z tłumów i z domów... Garnizon niewystarczający, usilnie proszę o wzmocnienie".

Barykady w Łodzi zaczęto stawiać w nocy z 22 na 23 czerwca **„...na ulicach** — pisał później gubernator M. Arcimowicz do Warszawy — **zaczęto wznosić barykady z najprzeróżniejszych materiałów, począwszy od beczek, skrzyń, mebli, desek i drabin aż do wozów, którymi chłopi przybyli na targ; z okien, balkonów i spoza barykad zaczęła się strzelanina do policji i wojska; zerwanymi drutami telefonicznymi umacniano barykady i urzą-**

Dalszy ciąg na str. 4

ŁÓDŹ CHCIAŁA KRWI KATÓW

ŁÓDŹ CHCIAŁA KRWI KATÓW

(Dalszy ciąg ze str. 3)

dzano zasieki w poprzek ulic dla przeciwdziałania ruchom kawalerii i niedopuszczenia, by policja i wojsko mogły zapobiec rozbijaniu państwowych sklepów monopolu wódczanego; niszczono gazowe latarnie uliczne...".

Tu istotna uwaga. Przez cały czas rewolucji, jak i poprzednio, kiedy narastała fala rewolucyjna w Łodzi, przy rozbijaniu domów publicznych czy sklepów z wódką niszczono tylko sprzęty, rozbijano butelki, darto pościel, rozpędzano personel, ale nikomu nie wolno było nic wziąć dla siebie. Był to ludowy protest przeciwko temu, co godziło w poczucie moralności, co podważało siłę i zwartość proletariatu. Srodze rozprawiono się z wszelkimi mętami społecznymi, złodziejami, sutenerami, niebieskimi ptakami.

Zryw robotników Łodzi był żywiołowy i spontaniczny. **„Łódź po prostu chciała krwi katów"** — jak to ktoś trafnie ocenił. Skończyła się robotnicza wytrzymałość. Musiało dojść do krwawego starcia. Ale do starcia tego robotnicy nie byli przygotowani. Taktyka walki rewolucyjnej klasy robotniczej dopiero się rodziła. Budowano barykady, aby uniemożliwić szarżę kawalerii, ale nie po to, aby się za barykadami bronić. Barykady były prymitywne, nie dawały schronienia walczącym. Barykady zresztą były różne. Koło fabryki I. Poznańskiego na ul. Ogrodowej zbudowano barykadę z bel bawełny, na Bałuckim Rynku z ręcznych warsztatów tkackich, na Południowej z samych beczek, na rogu Południowej i Zachodniej użyto do budowy barykady wszystkiego co było pod ręką: wóz ze śmieciami, deski, belki, beczki, drabiny, słupy, szyldy, skrzynie. Barykada sięgała niemal pierwszego piętra. Na Piotrkowskiej zbudowano barykady z wozów ze śmieciami, beczek pustych i napełnionych piachem. Były to najlepiej zbudowane barykady.

Budowanie barykad było wyrazem protestu i siły klasy robotniczej. Oto stawiamy zaporę przeciw znienawidzonej policji, znienawidzonemu wojsku, przeciw wszechmocy cara. Oto się jego nie boimy.

„Budują... barykadę — relacjonuje naoczny świadek stawiania barykady na rogu ulicy Dzielnej (G. Narutowicza) i Mikołajewskiej (H. Sienkiewicza). — **Kto żyw znosi deski. Szczególną uwagę zwraca stary, może sześćdziesięcioletni Żyd z długą siwą brodą. Oczy mu się śmieją, twarz promienieje, ciągnie prawie bez wysiłku ogromną belkę, rzuca ją w poprzek ulicy i jakby z triumfem prostuje swą postać. Jest prawdziwie piękny w tej chwili. Z całej jego postaci bije radość, widać, że doczekał się tego, na co długo czekał. Zginął na barykadzie i umierał z radością".**

Walczono na różne sposoby. Kamieniami, kwasem solnym, strzelano z rewolwerów. Policja i wojsko atakowały barykady, robotnicy chowali się w pobliskich bramach. I kiedy wojsko po oddaniu kilku salw do pustej barykady podchodziło śmiało, aby ją zburzyć, robotnicy zaczynali strzelać z bram.

„Ulice miasta — relacjonował później przebieg wydarzeń wydarzeń „Rozwój" — **były puste — ani tramwaje, ani dorożki nie kursowały. Cisza panowała grobowa, tylko dookoła rozlegały się salwy i strzały".**

Tak było w piątek, 23 czerwca 1905 roku.

„Noc przeszła bardzo niespokojnie, nieustanne salwy i strzały odzywały się o godzinie 11 wieczorem w północnej dzielnicy miasta".

W piątek w południe gubernator piotrkowski M. Arcimowicz telegrafował do Warszawy:

„...Władze administracyjne wobec słabości garnizonu nie mogą przywrócić porządku. Uważam za bezwarunkowo konieczne ogłosić stan wojenny w Łodzi i okolicy, znacznie zwiększyć garnizon..."

(Dalszy ciąg na str. 5)

CHORĄŻY ALBIN

EUGENIUSZ IWANICKI

Najbiedniejsza dzielnica, o której zapomniał sam Pan Bóg szybko zyskała sobie złą sławę, stała się postrachem dla miasta. Nawet przyjęła się moda „na bałuciarza". Najbardziej nonszalancko i zawadiacko ubierali się młodzi mężczyźni trzymający się grupkami, chodzący sobie tylko wiadomymi przejściami wśród ciemnych, milczących podwórzy i bram, stawiający czoła każdemu i wszystkim. Bałuty! Ogromny obszar obrzeżami tonący w lasach, żyjący swoim własnym życiem, respektujący własne niepisane prawa. Stateczni obywatele i kupcy nocą nie wychodzili z domów. Zamknąwszy na głucho okiennice i zaryglowawszy drzwi z niepokojem czekali na nadejście dnia. Bandy grasowały bezkarnie, mordowano i grabiono. Noc należała do przysłowiowych Antków z Bałut rządzących całymi ulicami nie zgorzej od policmajstra Ilłariona Chrzanowskiego. Często dwie bandy spotkawszy się ze sobą rozpoczynały bójkę na śmierć i życie. Krzyki budziły ulice, rzężenia konających napełniały trwogą obudzonych sklepikarzy, motaczki, szpinerki, rzeźników. Lecz nikt nie odważył się wyjrzeć, bodaj przybliżyć się do szpary okiennej. Na drugi dzień dowiadywano się, że w tym i w tym miejscu znaleziono ciało podziurawione nożami, stwierdzono obrabowany sklep, zarżniętego za ladą złotnika. Policja na próżno wypytywała, chciała czegoś się dowiedzieć, lecz nikt niczego nie wiedział, wszyscy spali w łóżkach, nic nie słyszeli. Ci z pierwszego cyrkułu szybko kończyli śledztwo i wracali do siebie. Jeśli udawało się kogoś zamknąć, ludzie wcale nie odczuwali ulgi. Bałuty były podobne do oceanu, w którym żyje tysiące drapieżników gotowych zaatakować w każdej chwili.

Nawet w dzień ta dzielnica napawała strachem. Brudne, błotniste ulice z niewysychającymi rynsztokami, nad którymi huczą roje czarnych much, brązowoszare domki wrośnięte w ziemię, pokryte liszajami brudu, okienka tuż przy chodnikach, wyszczerbione, wydeptane tysiącami nóg progi, przegnite futryny drzwi, rozpadające się przedsionki. W głębokich, zarośniętych podwórkach z zawiłymi meandrami tajnych przejść i ścieżek wałęsają się wygłodniałe dzieci i psy. Na dobrą sprawę nikt nie wie dokładnie o różnych kryjówkach, pakamerach, komórkach czy gołębnikach gdzie można skryć się przed najbardziej wytrawnymi żandarmami. Ulice są szare i ludzie chodzący nimi także są szarzy, jednostajni w kolorze swoich ubiorów, dopasowani do krajobrazu stworzonego naprędce przez zamożnych właścicieli fabryk. W takie dzielnice jak Bałuty nie zapuszcza się nigdy żaden powóz, nie przyjeżdżają tu wytworne damy na spacer, nie zaglądają tu bogaci panowie szukający drogich ubrań, złotych ozdób, wykwintnego jedzenia. Tu jest koniec świata, niżej nie można już zejść. Ale i tu, na usypisku wielkomiejskiej biedoty rosną niczym chorobliwe narośla na zdrowym organiźmie przeróżne sklepiki, kantyny, zakłady. Okazało się, że z tej rozpaczliwej nędzy można jeszcze coś wyciągnąć, można z niej żyć, bogacić się. Tak jest w stronę Starego Rynku i dalej aż do Helenówka. Na południu tę dzielnicę nędzy zamyka potężny kompleks fabryki Poznańskiego i jego gigantyczny pałac wzniesiony z pychą i rozrzutnością parweniusza. Dziadek Poznańskiego na Starym Rynku sprzedawał warzywa z wózka, syn był już milionerem, a wnuk?

Albin był w drodze do domu od szewca Jeleckiego, kiedy dogonił go jakiś robotnik i bez żadnych wstępów powiedział:

— Biegnij do swoich i powiedz, że w niedzielę naszych zginęło więcej niż tych pięciu, których pochowaliśmy wczoraj. Policja ukryła zabitych i pogrzebała po kryjomu. No, biegnij!

Albin nie ruszał się. Skoro pogrzebano, to przecież dobrze, o co robić szum.

— Nie rozumiesz? — zdenerwował się robotnik. — A możeś ty niemowa? — I widząc, że jego słowa nie wywołują na tym olbrzymie wrażenia, odwrócił się i pobiegł dalej.

Już przed domem, na Lutomierskiej, Albin dostrzegł niezwykły ruch. Wyglądało to jakby nagle wszyscy wylegli z domów i zamierzali wyruszyć na majówkę do łagiewnickiego lasu.

Na spotkanie wybiegła Julcia.

— Już wiesz?

— O czym?

— W szpitalu Poznańskiego zmarło dwóch Żydów i policja wcale nie pozwoliła ich pochować, tylko gdzieś wywiozła. Mówią, że zabitych było dużo więcej, tylko ukryto zwłoki.

— Szewc powiedział, że buty będą na pojutrze...

— Co tam buty! / Spójrz co się dzieje!

Formowano pochód. Skądś wyciągięto chorągwie: powiewały nad rozgorączkowanym tłumem niczym chusty umaczane we krwi. Proszono by ustawiać się w rzędy, nie tłoczyć się bezładnie.

— Jesteś silny, nieś — powiedział ktoś wtykając Albinowi drzewce do ręki. — Tylko trzymaj prosto.

Julcia uśmiechnęła się. Dostrzegł w jej oczach dumę.

— Będę szła obok.

Zjawił się stryj Wincenty. Za pas miał zatknięty czarny brauning.

— Tylko nie przynieś mi wstydu — powiedział. — Nie daj go sobie odebrać.

Ludzi przybywało. W wylocie ulicy widzieli jak duża grupa z takim samym sztandarem wyszła z Bazarowej i wtopiła się w pochód idący Stodolnianą w kierunku Nowego Rynku.

— Idziemy! Idziemy!

Matki trzymały dzieci za ręce, starsi chłopcy uwijali się wokół stojących, podrostki stały z rękami w kieszeniach i marsem na gładkich buziach.

— Idziemy!

— Zaśpiewajmy, towarzysze! — krzyczał młody mężczyzna, widać kancelista, ubrany z pewną elegancją, choć garnitur był z nie najlepszego materiału.

Ruszono. Ktoś zaintonował „Warszawiankę", tłum podchwycił. Albin po raz pierwszy doświadczył uczucia dumy, że oto kroczy na czele pochodu ze sztandarem w rękach i każdy, kto teraz na nich patrzy, widzi przede wszystkim jego, Albina Konara, którego jeszcze wczoraj chciano zamordować jako łamistrajka. Sam nie wiedzieć kiedy zaczął śpiewać razem z innymi.

Co jakiś czas do idących na czele przybiegali młodzi chłopcy informując, że ci z ulicy Średniej już są na Nowym Rynku, a grupy z Wolborskiej i Smugowej właśnie dochodzą.

Ludzi wciąż przybywało. Na Nowym Rynku pochód zatrzymał się. Przemawiano, wznoszono okrzyki żądające ukarania winnych za niedawną masakrę, domagające się sprawiedliwości lub wręcz potępiające policję i cara.

— Boisz się? — zapytał Albin Julcię, lecz ta tylko mocniej przytuliła się do jego ramienia.

Wkrótce wielotysięczny tłum ruszył w Piotrkowską wypełniając szczelnie całą ulicę. Na czele kroczyli robotnicy z odbezpieczonymi brauningami.

— Otwierać bramę! — krzyczeli do dozorcy. — Otwieraj cieciu, bo wpakuję ci kulę w bebech.

— Nie mogę, taki ukaz.

— Ja ci dam ukaz, sobaczy synu. Otwieraj! A spróbuj ją zamknąć, to ci flaki wypruję.

Na trasie całego pochodu ciężkie, olbrzymie bramy otwierały czeluście ciemnych podwórzy, mogących pomieścić po kilkaset ludzi.

— Otwierać! Otwierać!

Poczucie przynależność do tej potężnej, groźnej siły sprawiało Albinowi radość. Zapomniał, że od dwóch dni nie był w pracy, że być może wszystko będzie musiał zaczynać na nowo, lecz ta chwila była warta tego radosnego odurzenia. Co prawda nie szedł teraz na czele pochodu, ale w jego środku, jednak trzymany przez silne ręce sztandar kołysał się najwyżej, prawie na wysokości piętrowych okien milczących kamienic. Z tych okien gdzieniegdzie wyglądały przestraszone oczy skrywające się za nieprzeniknioną bielą firanek i zasłon. Stukot tysięcy nóg o drewniane płyty ulicy przypominał potężny grzmot toczący się nad miastem. Tak grzmi gradowa chmura: przeciągle, złowrogo, nieustannie. Kiedy oglądał się za siebie, widział czarną lawę kołyszących się głów: spływały potokiem z rynku jakby właśnie tam było niewyczerpane źródło wyrzucające na powierzchnię tę żywą, wzburzoną magmę. Do głównego nurtu dołączały coraz to nowe potoki: z Południowej, Zawadzkiej, Cegielnianej, Zielonej i Dzikiej, z Krótkiej i św. Benedykta, z Przejazdu i św. Andrzeja. Albin czuł, że rytm pochodu słabnie, wlewające się potoki wypełniały każdą wolną przestrzeń w maszerującej kolumnie. Julcia co i raz prosiła by nie zostawać w tyle, lecz szybszy krok stał się niepodobieństwem. Dotychczas ulica Piotrkowska była dla nich odległym światem. Czasem, w niedzielę przychodzili tu aby popatrzyć na bogate wystawy kupieckich sklepów, na wspaniałe toalety spacerujących pań, na eleganckie powozy bankierów i fabrykantów. Albin miał trudności z odczytywaniem szyldów, słabo go uczono w tym Zapolu, a już zupełnie nie mógł połapać się w „bukwach". Co tu pisze? — pytał Julcię. — Portnoj, znaczy się po naszemu krawiec, magazin mod — to sklep, gdzie możesz uszyć najmodniejsze ubranie według paryskich żurnalów, a tu pisze riestoranto po naszemu... Wiem, wiem, restauracja —

MARIAN PIECHAL

OGIEŃ I POPIÓŁ

(FRAGMENTY)

Pod znakiem wojen
i rewolucji
wiek nowy wschodził
pierwszy jej wystrzał
zapowiedź dalszych
rozległ się w Łodzi

Tu mój początek
tu płuc i serca
ruch najwcześniejszy
tu krzyk z kolebki
i jak wystrzału
pogłos wiersz pierwszy

Tu mnie marsz głodnych
rwany salwami
sensu słów uczył
w nim mej poezji
źródło i do niej
jeden z jej kluczy

Tu w owym Roku
Pamiętnym ojciec
był jedną z iskier
która nie zgasła
aż na wygnaniu
w tajdze sybirskiej

Tu się zbiegały
pasmami przędzy
wątki dziejowe
i tu mnie wplotły
nitkę liryczną
w swoją osnowę

Tu władztwo dymu
komin fabryczny
nad życiem rozpiął
tu mej młodości
i lat mych męskich
ogień i popiół

Tu pamięć ziarnem
wspomnień posiana
mierzwą krzywd żyzna
tu grób mej matki
proch co mnie zrodził
moja matczyzna

Co raz to lokaut
strajk i masówka

uśmiechnął się. — No widzisz, jeszcze troszkę, będę czytać jak sam gubernator Miller.

— Dużo nas? — pytała co jakiś czas Julcia starając się przekrzyczeć śpiewających.

— Dużo, chyba całe miasto wyszło dziś na ulice. Ci z przodu są już daleko, pewno dochodzą do Nawrot albo do Ewangelickiej.

— A wojsko?

— Nie ma wojska. Nawet nie widać kozaków. Jest nas siła, że strach. Wiesz, myślę, że jakby nas zobaczył teraz pan Poznański, to w mig podpisałby ugodę.

— Myślisz, że nie widzi? Stoi pewnie za jakąś firanką i trzęsie się ze strachu.

— A ty nie boisz się?

— Z tobą się nie boję.

— Czemuż to ze mną? Albo to ja inny niż wszyscy.

— Tyś mój mąż — zajrzała filuternie w twarz Albina, który jeszcze bardziej się wyprostował wznosząc sztandar jak tylko mógł wysoko.

— Pan Bóg chciał byś została moją. Nikogom tak w życiu nie miłował jak ciebie.

— Nawet w Zapolu?

— Na wsi jeno żyłem, a jakem zobaczył ciebie, to myślałem sobie, że jeśli jest Bóg i słyszy moje modlitwy, to go poproszę, aby mi c', dał. I tak się modliłem, tak prosiłem...

— W domu mnie nie widziałeś, wolałeś rozmawiać z tatką...

— Bom sam nie wiedział co mówić. Odezwę się, myślę, jeszcze wyśmieje. Rozmawiałem z tobą w myślach.

— Ja też.

— Znaczy się rozmawialiśmy ze sobą, jeno każde z osobna.

Roześmiał się. Ich miłość była prosta i silna, szczera i burzliwa. Gdzieś u samego początku życia losy ich zostały złączone najwyższą wolą i wyrokiem. Dwie ludzkie okruszyny rzucone na planetę musiały się w końcu odnaleźć. Takie było bowiem przeznaczenie, tak zapisano w wieczystych księgach przez skrupulatnego niebieskiego kancelistę. Oboje wierzyli, że ich kochania starczy na ziemską drogę, którą mają przemierzyć nim staną przed Najwyższym Sędzią by zdać rachunek z każdej przeżytej chwilki na tej twardej, niegościnnej i niesprawiedliwej ziemi.

— Teraz będziesz kochać nas obu — powiedział z powagą.

— Skąd ci przyszło, że urodzi się chłopak?

— Ja to wiem, inaczej być nie może.

— Mów głośniej — wołała Julcia, bo akurat idący dookoła zaintonowali „Czerwony sztandar" i pieśń podobna do gniewnej nawałnicy wypełniła ciasny tunel ulicy.

— Będzie syn! — krzyknął. — Syn, rozumiesz?

Znajdowali się na wysokości ulicy Głównej.

— Czy dochodzą już do Górnego Rynku? — dopytywała się Julcia, gdyż mimo wysokich obcasów nie mogła dojrzeć czoła pochodu.

Albin jedną ręką schwycił ją wpół i uniósł Zapiszczała, objęła go za szyję.

— Dochodzą do Pustej i Świętego Karola — zawołała — O, Jezu, co to!

Przez ułamek sekundy zdawało się jej, że widzi kozaków na koniach stojących w poprzek ulicy. Doleciały ją głuche trzaski jakby ktoś kijem uderzał w blachę. Lecz w zgiełku i śpiewie zginęły nagle jak nagle powstały.

Zagrzmiała salwa. W bocznych ulicach pojawiło się wojsko. Ktoś zupełnie blisko, zaczął krzyczeć przejmującym, jednostajnym głosem.

— Zdrada!

— Do bram!

— O, Jezuniu, O, Jezu najsłodszy!

— Uciekajcie!

— Gdzie jest mój Ziutek? Ludzie, gdzie jest moje dziecko?

Salwy zlały się w nieustającą kanonadę. Albinowi wydało się, że kule świszczą ze wszystkich kierunków: z przodu, z boków, z tyłu. Ci, którzy byli na czele pochodu zostali nagle zatrzymani, rzucili się do ucieczki, lecz nieświadomy sytuacji, rozśpiewany tłum napierał od tyłu, spychał tych, którzy ratowali życie, wprost pod lufy żołnierskich karabinów. Ludzi ogarnęła panika. Rzucono się do bram. Niektórzy dozorcy zdołali je jednak pozamykać. W rozpaczy, ogarnięci strachem gołymi rękami wyrywali żelazne zawiasy, wdzierali się na podwórze, parli przez wysokie parkany i ogrodzenia w kierunku ulic Wólczańskiej i Mikołajewskiej. Kto padł — był skazany na śmierć. W wąskich, ciasnych tunelach bram tworzyły się istne żywe piramidy, do których strzelano niczym do tarcz na strzelnicy

Albin, jedną ręką trzymając sztandar, drugą obejmując wpół Julcię usiłował przebić się bliżej domów. Instynkt nakazywał mu schronić się za jakimkolwiek murem, uciec jak najdalej od kozackich kul.

Julcia potykała się, ludzka fala rzucała nimi jak rzuca wątłą łupinką tratwy rozszalały ocean.

— Rzuć to! — pokazywała na sztandar. — Rzuć! Ratujmy się!

Pewnie nie dosłyszał, bo nadal, choć chwiejnie lecz wysoko przytrzymywał drzewce.

— Albin, rzuć to! — krzyczała. — Zabiją!

W końcu zaczęła się z nim szamotać, szarpać za rękaw, a kiedy opuścił drzewce niżej, zdarła czerwony materiał i schowała go za stanik.

Teraz strzelano zupełnie blisko. Jakaś kobieta, biegnąca obok nich nagle krzyknęła, schwyciła się za głowę i runęła twarzą w dół. Setki nóg pobiegły po leżącej ratując własne życia.

W końcu Albin i Julcia dotarli do domu oznaczonego numerem 177. Brama była wyłamana, zwarty ludzki potok ogarnięty przemożnym uczuciem strachu parł w czarną czeluść podwórza. Przed nimi upadło jakieś dziecko, lecz zanim zdążyli cokolwiek zrobić potężna siła wniosła ich w zbawczą czerń podwórka miażdżąc wątłe ciałko leżącej bez ruchu dziewczynki. W potężnym, zwierzęcym zawodzeniu głos Albina, wołającego by podnieść stratowaną, brzmiał jak pisk myszy w czasie trzęsienia ziemi. Biegł więc dalej, trzymając Julcię, ratował życie swoje i tego, który miał dopiero się pojawić.

W pewnym momencie uczuł, że Julcia staje się coraz cięższa, osuwa się, pada.

— Julcia! — krzyknął nie poznając własnego głosu. — Julcia!

Schwycił, uniósł wysoko, roztrącał i bił każdego, kto znalazł się na jego drodze. Myśląc o najgorszym, z sercem skamieniałym w tej jednej sekundzie, był gotów stanąć do walki z całym znienawidzonym światem. Nie czuł zmęczenia, nie myślał o ranach zadanych mu przez wystające z desek gwoździe kiedy przeciskał się obok komórek, nie zważał na krew zalewającą ubranie. Szedł jakby w transie, w hipnotycznym śnie, przyciskając bezwładne ciało żony. Już na Wólczańskiej, kiedy zawrócił na północ i przepychając się wśród uciekających szedł zataczając się na coraz bardziej słabnących nogach, wiedział, że jego życie na zawsze zrosło się z brukiem tego miasta.

— Julcia, moja kochana Julcia — mówił do zwisającej bezwładnie żony poprzez dławiące go łzy i bezsilny gniew wzbierający w nim aż do granic wytrzymałości. — Jeśli ci się co stanie, ja ich wszystkich... Słyszysz? Wszystkich tymi oto rękami...

Nadciągała ciepła, czerwcowa noc.

Fragment powieści „Wyprawa po białe runo", nagrodzonej II nagrodą na ogólnopolskim konkursie za powieść o tematyce włókniarskiej.

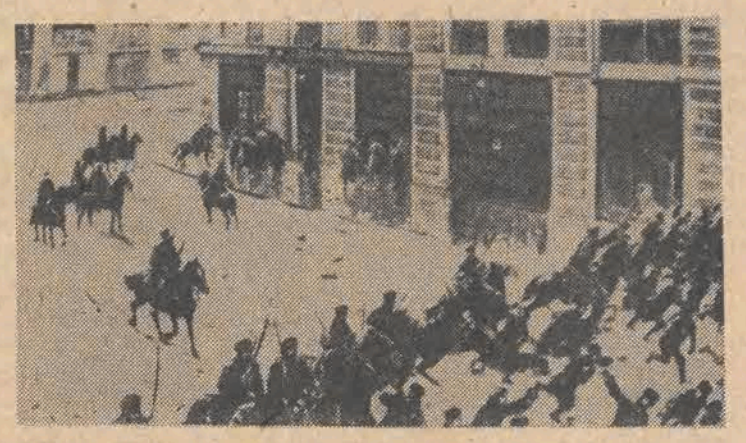

Dalszy ciąg ze str. 4

Jak ogromna musiała być siła rozgniewanych robotników, jak przemożna chęć walki, kiedy nie uzbrojeni (cóż bowiem znaczyły rewolwery przeciw karabinom policji i piechoty, przeciw szablom kozaków i dragonów) robotnicy byli w stanie przeciwstawić się całej ówczesnej władzy carskiej w Łodzi.

23 czerwca 1905 roku generał N. Szatiłow telegrafuje do gubernatora M. Arcimowicza:

„Rozkazałem wyruszyć do Łodzi z obozu dwu batalionom pułku Koływańskiego oraz z trawy z pow. częstochowskiego trzem szwadronom pułku Mitawskiego. Jutro będą w Łodzi...".

Tego samego dnia, godzina 21.17, telegrafuje generał F. Herszelman:

„Do Łodzi odkomenderowano dwa pułki piechoty i jeden dragoński".

24 czerwca 1905 roku do Warszawy dociera pismo z Peterhofu o podpisaniu przez cara Mikołaja II dekretu o ogłoszeniu stanu wojennego w Łodzi. Tymczasowym generał-gubernatorem Łodzi i powiatu łódzkiego mianowany został dowódca I korpusu kawalerii generał-lejtnant N. Shutleworth.

25 czerwca 1905 roku zaczęto rozlepiać **„Obowiązkowe postanowienie w rozwinięciu najwyżej ogłoszonego stanu wojennego".** Wiadomość o ogłoszeniu stanu wojennego w Łodzi opublikował „Rozwój" 26 czerwca 1905 roku.

W tym samym numerze gazety:

„Osobiste. Dzisiejszej nocy przybył do Łodzi wicegubernator piotrkowski pułkownik Reinchardt".

„Latarnie gazowe. W sobotę do 5 po południu zarząd gazowni obliczył 1.360 latarni uszkodzonych".

„Ze straży miejskiej. Straż ogniowa miejska została zwolniona od wywożenia trupów z ulic".

Powoli walka wygasała. 24 czerwca 1905 roku zdaniem gubernatora M. Arcimowicza, który pisał o tym do Warszawy, **„pod wpływem akcji wojska w dniu poprzednim życie w mieście prawie zamarło; ruch uliczny ustał i tylko z rzadka tu i ówdzie rozlegały się jeszcze strzały".**

Charakterystyczne jest zestawienie strat po obu stronach. We wspomnianym piśmie do Warszawy gubernatora piotrkowskiego M. Arcimowicza podana jest lista zabitych i rannych oraz ilość lekko rannych. Zabitych więc było 151 osób, rannych 185 i lekko rannych 49. Ze strony wojska i policji zginęły natomiast 3 osoby i 7 było rannych. W istocie ofiar musiało być znacznie więcej. Niektóre źródła podają, że zabito 561 osób, a ranych było 700, inne, że zabitych padło 400 osób, a raniono tysiąc. W sumie — jak twierdzi w cytowanej już książce Lech Karwacki — **„na ogół mówi się o 1500—2000 zabitych i rannych".** Straty były ogromne, powstanie zakończyło się klęską. Odniesiono jedynie zwycięstwo moralne, pokazano, że proletariat jest i może być groźny. I strach padł na burżuazję, na carskie władze. Wiadomość o walkach w Łodzi dotarła szeroko nie tylko w Rosji, ale i na świecie. „Rozwój" doniósł, że 29 czerwca 1905 roku bawili w Łodzi dwaj korespondenci pism angielskich. O walkach w Łodzi pisała prasa socjalistyczna. Przez wiele skupisk robotniczych w Królestwie Polskim przeszła silna fala protestów i poparcia dla robotników walczącej Łodzi.

Do łódzkiego policmajstra udali się z delegacją kupcy i fabrykanci z prośbą, aby wojsko i policja wzięły ich pod ochronę. „Rozwój" z 30 czerwca 1905 roku donosił, że z dnia na dzień zwiększa się ekspedycja towarów z Łodzi, ostrzegał przy tym podróżujących, aby mieli przy sobie legitymacje, gdyż będą legitymowani.

„Od dnia dzisiejszego codziennie — pisała gazeta — **w ogrodzie Helenowskim będą dawane KONCERTY, które w dni powszednie rozpoczynają się...".**

Tym razem nie podano, kto będzie koncertował, orkiestra jakiego pułku, bo byłoby to niemile widziane.

Życie powoli wracało do normy. Ale walka jeszcze się nie skończyła.

ŁÓDŹ CHCIAŁA KRWI KATÓW

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

las transparentów
sztandary pieśni
nagły strzał krzyki
stukoty kopyt
nóg tupot popłoch
i krew na jezdni

Po sztormie strajków
martwe sezony
bruk z krwi deszcz zmywał
a pod zaspami
drzemał do czasu
z nowym zapłonem
dawny niewypał

Nie po raz pierwszy
lecz raz jak wulkan
strajk podminował
koszmaru cokół
Łódź do tej pory
żyje pamięcią
Tysiąc Dziewięćset
Piątego Roku

Kramoła głodu
przeciw niewoli
despocie w gardle
stanęła kością
bo jakże czerń śmie
łączyć ze sobą
sprawę kartofla
z niepodległością

Czym jest robotnik
przy swym warsztacie
Jego przykutym
doń galernikiem
a chce być wolnym
we własnym kraju
i władzy nad nim
nie dzielić z nikim

Rynek Geyera
w dniu pierwszym maja
słonecznik ziarnem
ludzkim nabity

Pochód Policja
przeciw jej strzałom
kamień i nitką
krwi trup z nim zszyty

Uczcijmy kamień
który był bronią
w rękach co trud ich
lecz owoc nie ich
ten z łódzkich bruków
k o c i m ł b e m zwany
z plamą krwi na nim
zorzą nadziei

Kiedy historia
w akordach faktów
schodzi na place
i na ulice
wtedy ten kamień
nieraz wywraca
cały porządek
świata na nice

I WYBUCHŁA WALKA JAKIEJ ŚWIAT NIE WIDZIAŁ

BARBARA WACHOWSKA

Rewolucja na ziemiach polskich zaczęła się spontanicznie i gwałtownie wybuchającymi strajkami we wszystkich ośrodkach przemysłowych, na znak solidarności z proletariatem rosyjskim, który doznał krwawej masakry w Petersburgu 22. I. 1905 r. a w której zginęło około 1000 robotników zaś kilka tysięcy zostało rannych. Przez trzy tygodnie stycznia i lutego solidarnie strajkowali z proletariatem rosyjskim polscy robotnicy. Wypadki styczniowo-lutowe w 1905 r. zapoczątkowały długotrwałe ogólne poruszenie społeczne. Za proletariatem przemysłowym do walki przystąpili chłopi, robotnicy rolni, młodzież szkolna i studencka, inteligencja, urzędnicy, pracownicy handlu, poczty, liberalna burżuazja i liberalne ziemiaństwo.

Wystąpienia mas miały w 1905 r. charakter ofensywny. Przebiegały one ze zmiennym natężeniem. Po trzytygodniowym strajku styczniowo-lutowym następny zryw miał miejsce w maju-czerwcu, by po tygodniach pewnego uspokojenia przejawić się znów w sierpniu a następnie nader intensywnie w październiku i listopadzie oraz grudniu. W 1906 r. walka proletariatu zaczęła tracić ofensywny charakter, natomiast narastał, szczególnie wiosną i latem, burzliwy i rozległy ruch agrarny. W 1907 r. klasy posiadające przeszły do kontrofensywy, niesłychanie brutalnej, realizowanej w sojuszu z aparatem władzy zaborczej. Mimo to proletariat bronił się rozpaczliwie nim został ostatecznie pokonany.

Rewolucja 1905 r. była przełomowym wydarzeniem w życiu polskiego proletariatu, stanowiąc jednocześnie najważniejsze ogniwo w kształtowaniu historii miast przemysłowych. Jawiąc się w konfrontacji teorii z praktyką, programów z ich realizacją, ugruntowywała w świadomości mas pozycję programów socjalistycznych, wskazujących na potrzebę zasadniczej zmiany stosunków i kreujących wizję społeczeństwa socjalistycznego.

Rewolucja uczyniła strajk podstawową bronią robotników w walce politycznej i ekonomicznej. Ruch robotniczy dotąd doświadczał różnych form walki z fabrykantami. Znał bierny spór, protesty i petycje, „zmowy", burzenie maszyn, bunty, wreszcie strajki. Do momentu wybuchu rewolucji proletariat podejmował strajki pojedyncze, grupowe, znał też dzięki robotnikom łódzkim, strajk powszechny zastosowany po raz pierwszy w 1892 r. Zaś rewolucja 1905—1907 r. wylansowała powszechny strajk polityczny, powodując jednocześnie, iż forma strajku w ogóle stała się wkładem klasy robotniczej do ogólnej cywilizacji, przyjęta została następnie przez inne klasy i grupy społeczne a stosowana jest w świecie po dziś dzień.

Powszechne strajki polityczne robotników w latach rewolucji, paraliżując funkcjonowanie aparatu państwowego, okazały się bronią najmocniejszą i najbardziej skuteczną w walce z rządem, które mu równie ostro unaoczniły swe olbrzymie możliwości. Stosowane przez robotników wzbogaciły ich wiedzę polityczną, zaś zdobyte dzięki nim doświadczenia, stały się trwałą wartością w kulturze politycznej proletariatu. Właśnie dzięki rewolucji robotnicy nauczyli się władać tą bronią i nieraz będą po nią sięgać, znacznie też sprawniej i precyzyjniej a więc także skuteczniej.

W Łodzi już znamiona strajku politycznego nosił w szczytowym momencie, gdy ogarnął 100 000 osób, strajk z okresu 26 I — 27 II 1905 r. Po nim polityczne strajki powszechne wybuchły 1 maja, 15 maja, 20 czerwca, 21 sierpnia, a największy z nich miał miejsce w dniach 21 X — 18 XI 1905 r. stanowiąc *„bezpośredni atak na samowładztwo carskie"*. Objął on nie tylko robotników fabrycznych ale także pocztę, telegraf, koleje. Równie ważną rolę odegrał powszechny strajk polityczny w dniach 27 XII 1905 — 3 I 1906 r. podobnie jak siedem strajków politycznych w roku 1906. „Łodzianin", organ PPS, tak skomentował powszechne strajki polityczne: *„W chwilach tych nie ma partii, jest tylko jeden proletariat, który odnajduje sam siebie"*.

Cech walki politycznej nabierały w tych latach także coraz częściej stosowane strajki okupacyjne. Robotnicy bowiem, okupując fabryki a nawet przyjmując w swe ręce kierownictwo produkcji naruszali usankcjonowany porządek społeczny, kwestionowali kapitalistyczne prawo do władania fabryką. Szczególnie silnie wystąpiło to zjawisko w walkach włókniarzy łódzkich w maju 1905 r. kiedy to robotnicy okupując fabryki usuwali znienawidzonych majstrów a nawet dyrektorów. Nic więc dziwnego, iż w przypadkach strajków okupacyjnych policja i wojsko ingerowały w sposób szczególnie bezwzględny.

Ale w czasie rewolucji robotnicy chwycili się jeszcze znacznie ostrzejszej formy walki — powstania zbrojnego. Dotąd w Europie na barykadach walczyli tylko robotnicy francuscy. Drugimi, a w tej części Europy pierwszymi, byli łódzcy włókniarze, a w ślad za nimi poszli proletariusze moskiewscy. *„Miastu Łodzi i proletariatowi polskiemu"* — powiedział Feliks Dzierżyński — przypadł *„zaszczyt uczynienia pierwszej próby powstania, pierwszej masowej walki barykadowej w państwie carów"*. Łódzkie powstanie czerwcowe stało się wydarzeniem przełomowym w Królestwie Polskim, a będąc pierwszym zbrojnym zrywem mas ludowych przeciw samowładztwu po roku 1863, wyznaczało kolejny etap walki społecznej i narodowo-wyzwoleńczej. Zyskało ono wysoką ocenę Włodzimierza I Lenina, który spostrzegł w nim wzór rewolucyjnego entuzjazmu i bohaterstwa oraz wyższe formy walki

Pierwsze w państwie rosyjskim walki barykadowe w Łodzi dały bogaty materiał do analizy problemu powstania zbrojnego proletariatu. Uświadomiły one konieczność jednolitego i sprawnego kierownictwa, potrzebę istnienia ośrodka koordynacyjnego i dyspozycyjnego, nieodzowność uzbrojenia mas, konieczność organizacyjnego i technicznego przygotowania powstania, jednoczesnego podjęcia walki w największych ośrodkach przemysłowych, scentralizowania i przeciągnięcia na stronę powstania wojska. Analogiczne nauki wyciągnęli socjaldemokraci z moskiewskiego powstania z grudnia 1905 r.

Spełnienie tych warunków w 1917 r. przesądziło o zwycięstwie rewolucji w Rosji.

Rewolucja doprowadziła do polaryzacji politycznej. Umocniła się pozycja SDKPiL głoszącej hasło obalenia caratu i dokonania rewolucji socjalistycznej zaś doświadczenia jej miały znaczny wpływ na taktykę innych partii. Pod wpływem wydarzeń rewolucyjnych wykrystalizowały się dwa nurty w PPS, z których lewica, postawiwszy sprawę niepodległości Polski na płaszczyźnie rewolucyjnej, zyskała zdecydowaną przewagę w ośrodkach robotniczych. Przebieg rewolucji w 1905—1907 r. pozwolił jej dostrzec nierealność koncepcji powstania zbrojnego przeciwko Rosji i odzyskania na tej drodze niepodległości. Pełną niepodległość mogła przynieść tylko ogólnorosyjska rewolucja socjalistyczna. Wiązanie więc niepodległości Polski z perspektywą zwycięskiej rewolucji zapadło głęboko w świadomość mas popularyzując w szerokich kręgach plebejskich programy socjalistyczne. Zewnętrznym wyrazem przebiegającego wówczas dynamicznie procesu rozwoju świadomości ideowo-politycznej mas robotniczych Królestwa Polskiego był kilkasetkrotny wzrost szeregów partyjnych w toku rewolucji. Najdobitniej uwidoczniło się to w Łodzi gdzie organizacja SDKPiL ze 120 członków w styczniu 1905 r. wzrosła do 18—20 000 członków w styczniu 1907 r., PPS zaś licząca w przeddzień rewolucji około 500 członków osiągnęła we wrześniu 1906 r. stan blisko 10 000 osób. Tak więc ów rewolucyjny skok w politycznej edukacji mas uzewnętrznił się w umasowieniu politycznego ruchu klasy robotniczej.

Rewolucja 1905 r. zrodziła ruch zawodowy w Polsce, doprowadzając jednocześnie do rozkwitu związki i stowarzyszenia robotnicze. W końcu XIX w. związki zawodowe działały już we wszystkich państwach europejskich, licząc w 1904 r. około 5 000 000 członków. Jedynie w Rosji istniał prawny zakaz zrzeszania się robotników i pracowników najemnych w związkach zawodowych. Ale już w pierwszych dniach rewolucji lukę tę poczęły wypełniać powstałe samorzutnie instytucje delegatów robotniczych. Stanowiły one zalążkową postać związków zawodowych. Kolejnym etapem w dziejach ruchu zawodowego było powołanie przez SDKPiL podczas strajku październikowego w 1905 r., fabrycznych związków zawodowych. Powstały one w licznych łódzkich fabrykach przemysłu włókienniczego i przez pewien czas kierowały w nich walką strajkową.

Podczas „dni wolnościowych" w okresie od 2 do 21 grudnia 1905 r. w całej Rosji pojawił się niezwykle silny pęd do zakładania związków zawodowych, zaś inicjatywa wychodziła zarówno od partii robotniczych jak i samych robotników. Związki zawodowe powstały we wszystkich ośrodkach przemysłowych i we wszystkich branżach. I choć przepisy z 17 III 1906 r. normujące sposób rejestrowania związków i określające zakres ich czynności ograniczały swobodę działania, to jednak dawały możliwość legalnej pracy, stanowiącej nieodzowny atrybut społecznej użyteczności organizacji masowej. Najpoważniejszym centrum ruchu zawodowego w Królestwie Polskim a także w całym państwie rosyjskim a nawet w ówczesnej Europie, stała się wówczas Łódź. W połowie 1907 r. związki zawodowe liczyły w Łodzi 85 028 członków. O sile tego ruchu decydowali tutaj włókniarze, których około 66 proc. należało do organizacji. Następni byli metalowcy, dziewiarze, robotnicy budowlani. W 100 proc. do związków zawodowych należeli krawcy, w 79,3 proc. zorganizowali się metalowcy, w 78 proc. szewcy, w 74 proc. drukarze, w 71,5 proc. budowlani. Mimo braku lokali, słabości kadrowych, ubóstwa zasobów finansowych związki, jak widać, osiągnęły olbrzymie rozmiary, unaoczniły swą wielką siłę społeczną, twórczo wspierając polityczny, spółdzielczy, kulturalny i oświatowy ruch robotniczy. Najpoważniejsze miejsce zajęły bezpartyjne klasowe związki zawodowe, których założenia kontynuują współczesne organizacje zawodowe w Polsce.

Dzięki rewolucji odżył spółdzielczy ruch robotniczy. W 1907 r. działało w Królestwie Polskim 670 stowarzyszeń spółdzielczych, liczących około 90 000 członków. Z tej liczby 500 stowarzyszeń powstało w latach 1906—1907. Polska nad wyraz szybko nadganiała zachodnią Europę, która takiego tempa rozwoju nie zanotowała nawet w okresach najbujniejszego rozwoju spółdzielczości w Anglii i Francji. Najwięcej stowarzyszeń spółdzielczych powstało wtedy w guberni piotrkowskiej (155) i warszawskiej (125).

W tym okresie narodziła się również robotnicza spółdzielczość mieszkaniowa, pragnąca rozwiązać niesłychanie nabolały problem mieszkaniowy. Projekty te wprawdzie w Łodzi nie miały jeszcze wówczas szans realizacji i upadły, tym niemniej w końcu 1907 r. powstało tutaj Towarzystwo Budowy Tanich Mieszkań dla robotników, które w 1908 r. rozpoczęło działalność.

Rewolucja obudziła inicjatywę robotników nie tylko w dziedzinie życia politycznego i ekonomicznego, ale także kulturalno-oświatowego. Wraz ze wzrostem świadomości politycznej klasy robotniczej narastało poczucie jej upośledzenia pod względem oświatowym. Na podłożu wzmacniających się aspiracji wyzwoleńczych proletariatu zrodził się w nim pęd do oświaty. Robotnicy, szczególnie łódzcy, zaczęli masowo uczęszczać na kursy dla analfabetów, słuchać odczytów, korzystać z bibliotek. Sami też poczęli zakładać biblioteczki fabryczne, czytelnie związkowe, kółka oświatowe, wykazując niejednokrotnie inicjatywy wydawnicze, głównie w zakresie edycji broszur i pism. To one właśnie, odezwy, afisze i prasa partyjna stały się podstawową, codzienną literaturą robotniczego czytelnika. Z tego źródła czerpał on wiadomości o wydarzeniach w świecie, uczył się politycznego myślenia. Ta lektura dostarczała mu wzruszeń i emocji, wokół niej toczyły się dyskusje, ona stanowiła dominujące źródło ogólnospołecznej i politycznej wiedzy.

To nie spotykane dotąd zainteresowanie kulturą i oświatą objęło także organizowanie przez robotników rozrywki, urządzanie koncertów, przedstawień amatorskich. Zakładano towarzystwa śpiewacze, dramatyczne, naukowe, muzea. w Łodzi powstały Łódzkie Stowarzyszenie Śpiewacze „Echo", „Lira", „Harmonia", „Lutnia", Towarzystwo Krzewienia Oświaty, Towarzystwo Kursów Naukowych, Towarzystwo Uczelnia, „Polska Macierz Szkolna", Stowarzyszenie „Dom Ludowy", Koło Miłośników Sceny, Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, Żydowskie Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne „Harfa", Żydowskie Towarzystwo „Dramatisze Kunst", Żydowskie Towarzystwo Muzyczne „Hazomir", niemieckie „Lodzer-Männer Gesang Verein i wiele innych.

Zrodzone w czasie rewolucji stowarzyszenia kulturalno-oświatowe stanowiły jedne z ważniejszych jej osiągnięć. Powstałe w wyniku kulturalnej aktywności robotników tylko w oparciu o nich mogły działać i rozwijać się. Naprzeciw oświatowym dążeniom proletariatu wyszła postępowa inteligencja polska, która w pełni doceniła te aspiracje, wykazując podziwu godną aktywność na polu działalności oświatowej i kulturalnej. Szczególnie widoczne było to w Łodzi, gdzie nader czynni byli lekarze, adwokaci, nauczyciele, inżynierowie. Cechą charakterystyczną ich postawy było traktowanie pracy oświatowej w środowisku robotniczym jako obowiązku społecznego a swe stosunki z robotnikami układali na zasadach partnerskich.

W procesie owej rewolucji kulturalnej toczyła się też walka o nowe wartości jak *„poszanowanie godności osobistej i godności stanu robotniczego"*, o etykę, o moralność robotniczej zbiorowości, walka z nałogami, z alkoholizmem (Towarzystwo Abstynenckie „Przyszłość"). Klasa robotnicza uczyła się także kultury politycznej. Poprzez rewolucję zdobyła ogromny zasób wiedzy o urządzeniach społecznych. Poznała co to swobody obywatelskie, prawo do koalicji, wolność strajków, uczestniczenie w życiu politycznym. Poznała pierwszy w dziejach Rosji parlament — Dumę Państwową oraz ważne ogniwo na drodze jej ustanowienia — wybory.

Rewolucja przeobraziła i zwielekrotniła społeczną i cywilizacyjną funkcję fabryk. Nastąpiło to w procesie *„walki o fabryki"*. W jej toku zamieniły się one w twierdze robotnicze, stały się głównym miejscem nie tylko pracy ale strajków, zebrań, dyskusji, kursów, odczytów, wykładów. Robotnicy walcząc o prawo swobodnego działania w fabryce podejmowali strajki okupacyjne. Na terenie fabryk przebywali, żyli: jedli, spali, wiecowali, uczyli się, dyskutowali. Z fabryk zaczynały się pochody robotnicze, demonstracje 1-majowe, rozwijało się tam życie polityczne, uprawiano agitację, kolportowano literaturę ulotną. Fabryki uznano za podstawowe miejsce toczącej się walki o wyzwolenie społeczne proletariatu. Idea konstytucjonalizmu fabrycznego, oparta na proletariackiej praworządności obejmowała instytucję sądów, wymierzania sprawiedliwych kar, żądanie domagające się wyeliminowania czynników trzecich (wojska) w rozwiązywaniu konfliktów między kapitałem a pracą.

W dniach rewolucji toczyła się także walka o realizację hasła rzuconego przez partie socjalistyczne, iż *„ulice należą do robotników"*. Ten postulat został spontanicznie i powszechnie zaakceptowany przez robotnicze środowisko. Proletariusze, dotychczas pod byle pretekstem poszturchiwani na ulicach przez policję, teraz się jej odgrażali. Swoją nieustępliwą i masową obecnością na ulicach miast demonstrowali robotnicy swe niekłamane prawo do ulicy a przede wszystkim do głównych ulic w miastach, pańskich dotąd ulic, jak ulica Piotrkowska w Łodzi. Żandarmi coraz częściej stykali się z wrogimi odruchami ze strony robotników, a nawet bywały okresy, kiedy stójkowi nie mogli pełnić swych obowiązków, przepędzani z ulicznych posterunków.

Rewolucja objęła także rodziny robotnicze podnosząc znacznie ich społeczną rangę. Na pierwszą linię klasowej walki wysunęła ona również kobiety, robotnice, żony i matki, objęła dzieci i młodzież, stawiając na porządku dnia sprawy szkół, zdemokratyzowanego i spolszczonego szkolnictwa średniego. Rewolucja wykształciła nowe robotnicze obyczaje, w tym manifestacyjne oddawanie czci tym spośród robotników, którzy ginęli za bliskie i drogie proletariatowi ideały.

Rewolucja 1905 r. wreszcie uzmysłowiła wszystkim rangę miast przemysłowych w dziejach nowoczesnego społeczeństwa oraz wagę robotniczych aspiracji. Jednocześnie przeobraziła samych robotników czyniąc z nich siłę świadomą swych celów oraz zadań ogólnospołecznych, zdolną włączyć w nurt czynnego życia społeczno-politycznego wszystkie warstwy ludności — chłopów, drobnomieszczaństwo, średni stan mieszczański a przede wszystkim inteligencję. Rewolucja wykazała, iż mimo porażki, jedynie proletariat był zdolny do zdecydowanej walki o całkowitą wolność, tylko on mógł stanąć na czele całego ludu w walce przeciw samowładztwu, uciskowi i przemocy. Tylko on potrafił się uformować — jak to określił Włodzimierz I. Lenin — w wielką armię wolności i socjalizmu.

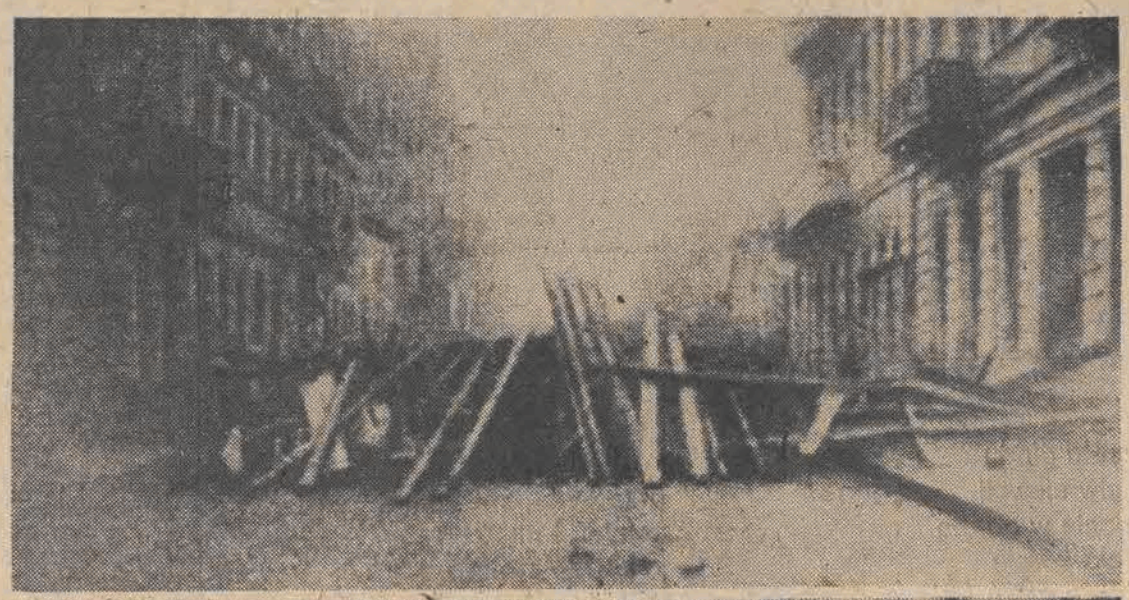

BARBARA WACHOWSKA — docent, dr habilitowany, zastępca dyrektora do spraw naukowych Instytutu Historii UŁ, kierownik Zakładu Historii Polski Najnowszej UŁ.

TADEUSZ GICGIER

OD GLISCZYŃSKIEGO DO WANDURSKIEGO

Łódź nazywają niektórzy „miastem poetów". Współczesny łodzianin rodowód tej nazwy wyprowadzi zapewne ze współczesności, bo dla nikogo nie jest tajemnicą, że w mieście organizowane są dwie znaczące imprezy poetyckie: Ogólnopolski Festiwal Poezji i Wiosna Poetycka, a także liczne i częste konkursy dla młodych poetów i debiutantów. Także większość członków łódzkiego Oddziału Związku Literatów to właśnie poeci, a przynajmniej pisarze, dla których poezja jest podstawową gałęzią twórczą, owocującą co roku w łódzkiej „Bibliotece Poetów".

Łodzianin bardziej znający tradycje kulturalne miasta wspomni okres międzywojenny, kiedy to działały tu pierwsze zgrupowania poetyckie, by wymienić tylko głośnych „Meteorytów". A już chyba nieliczni napomkną o łódzkich poetach sprzed pierwszej wojny światowej i z lat wcześniejszych.

Spróbujmy przeto sięgnąć do źródła wspomnianej wyżej nazwy, więc do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, by następnie powiedziec coś niecoś o łódzkich poetach tworzących w czasach późniejszych.

Pierwszym poetą łódzkim nazwany został **Artur Gliszczyński**, którego obdarzono również mianem „łódzkiego Berangera". Artur Gliszczyński urodził się we wsi Machora koło Opoczna. Gimnazjum Realne ukończył w Warszawie i tam uczęszczał później do Szkoły Handlowej im. Kronenberga. Po przybyciu w roku 1890 do Łodzi starał się rozbudzić tutejsze wątłe życie kulturalne. Wstąpił do popularnej „Lutni", współpracował z miejscowymi czasopismami, pisał korespondencje do pism warszawskich, założył własne wydawnictwa informacyjne i literackie. Przez trzy lata z rzędu wydawał humorystyczne roczniki „Łodzianka", w następnych latach kalendarz „Łodzianin". Nie były to wprawdzie wydawnictwa stojące na wysokim poziomie, miały jednak pewne znaczenie dla początków ruchu kulturalnego w mieście.

Praca nad tymi wydawnictwami zapoznała Gliszczyńskiego z powszednim dniem fabrycznego miasta i pozwoliła mu zaobserwować wiele charakterystycznych, tak dodatnich jak i ujemnych zjawisk społecznych. W roku 1892 młody poeta był naocznym świadkiem „buntu łódzkiego", który rozpoczął się obchodem święta 1 Maja, a zakończył kilkunastodniowym strajkiem powszechnym, w którym wzięła udział, pomimo licznych represji, cała łódzka klasa robotnicza.

W roku 1901, po wydaniu pierwszego zbioru wierszy, Gliszczyński wraca do Warszawy. W tym okresie zwraca się w kierunku twórczości satyrycznej, współpracuje z teatrzykami warszawskimi, dostarczając im utworów o charakterze estradowym.

Dorobek poetycki Glisczyńskiego, poza utworami rozproszonymi w czasopismach, zawarł się w trzech oddzielnie wydanych zbiorkach: „Z mroku i dymu", „Obrazki" oraz „Humor i satyra". Wiersze Gliszczyńskiego, choć niezbyt oryginalne i nie odznaczające się wybitniejszymi walorami poetyckimi, mają jednak niewątpliwe znaczenie dla nas jako łodzian, są bowiem jednymi z pierwszych utworów poświęconych życiu miasta. Tkacze, fabryki łódzkie, nędza łódzkiego bytowania i społeczna niesprawiedliwość — to tematy, które Gliszczyński podjął pierwszy — odważnie i na swój sposób nowatorsko. Widoczne jest to zwłaszcza w tomie „Z mroku i dymu". Ale i w następnych utworach, pisanych już w Warszawie, często dochodzą do głosu łódzkie wspomnienia, obrazy niedoli, kontrasty wielkiego miasta przemysłowego, tak długo pomijanego w ówczesnej poezji polskiej.

Łódź jest kolebką rodzinną wybitnego poety młodopolskiego, znakomitego liryka, a równocześnie jednego z najciekawszych umysłów tamtego czasu — **Tadeusza Micińskiego**. Przyszły poeta przebywał tu jednak bardzo krótko, a poza tym jest to postać na tyle znana w naszej literaturze, że nie będziemy jej tu szerzej przypominać.

Chcę natomiast poświęcić parę słów innemu łódzkiemu poecie z okresu Młodej Polski, choć jest to liryk znacznie niższego lotu. Nazywał się **Aleksander Mogilnicki** i wydał bodaj tylko jeden zbiór wierszy: „Z jasnych dni", opublikowany w roku 1903. Mogilnicki był prawnikiem i napisał przede wszystkim szereg książek z zakresu prawa, a obok nich książkę pt. „Kultura dnia codziennego. Łączył więc w sobie, jak zresztą wielu prawników dawnej generacji, ambicje zawodowe z rozległymi zainteresowaniami kulturalnymi. Ja chciałbym oczywiście przypomnieć Mogilnickiego — poetę. Z jego zbioru wierszy wybrałem utwór zatytułowany „Nie dawaj mi serca":

Serce mi dajesz... A gdyby się ono
W głąb mojej piersi na chwilę dostało,
Tam by znalazło ziemię, krwią zbroczoną
I czarną przestrzeń, piorunem rozgrzmiałą.
Tam by znalazło groźne Alp urwiska,
Śniegiem pokryte Himalajów szczyty
I źródło górskie, co ze skały tryska
I modrą wstęgą przecina granity.
I nieskończone ludzkich cierpień morze,
Męczonych jęki, ginących okrzyki,
Stada jastrzębi, krążące w przestworze
I wilków wycie i tygrysów ryki.
Śpiącą ofiarę, do której się skrada
Z sztyletem w ręku bezduszny morderca
I widma, które budzi nędza blada
Tam by znalazło. Nie dawaj mi serca.

Nazwisko **Jana Nepomucena Millera** pojawiło się bodaj po raz drugi (pierwszy raz dwa lata wcześniej) na łamach wydanej w roku 1916 jednodniowki „Na dziatwę polską". Nikt chyba wówczas nie przypuszczał, że autor zamieszczonych tam wierszy wystąpi w kilka lat później z książką, która poruszy do żywego wiele wybitnych umysłów w Polsce i stanie się na dłuższy czas przedmiotem niezwykle zaciętej polemiki. Książka ta to rozprawa „Zaraza w Grenadzie" — rzecz o stosunku nowej sztuki do romantyzmu i modernizmu w Polsce.

Jan Nepomucen Miller urodził się w Łodzi w roku 1890, tutaj też wydrukował swe pierwsze utwory poetyckie. Debiutował w roku 1914 dramatem klasycznym „Erynje", w roku 1918 wydał dytyramb „Achilles na marach", a następnie zbiory wierszy: „Lacrima rerum" i „Korowód". Opuściwszy nasze miasto dla studiów w Krakowie, zamieszkał później w stolicy i pracował tam jako nauczyciel.

Oto wiersz Jana Nepomucena Millera wyjęty ze zbioru „Korowód":

Hej! z daleka przychodzę, z obcych sinych miast,
z zagubionych ziem, z zatraconych gwiazd,
nieznany, niewołany,
pielgrzym z obcych stron —
niosę żniwny wian —
bezimienny plon...
Czy w godzinę niemej radości
wian uwieńczą mi duchem najprostsi?
Czy w godzinę tej głuchej powagi
przyjmą plon mój, gdym obcy i nagi?
Czy gdy wian im wyniosę ze złota
nieznanemu otworzą się wrota?
nieznanemu rozewrzą wierzeje?
bezimiennych do łaski imienia
czy dopuszczą? gdy wicher zawieje,
czy wprowadzą w gościnne podcienia?...

Drugim łódzkim poetą i prawnikiem, choć już z późniejszego niż Mogilnicki pokolenia, był **Mieczysław Braun**, autor głośnych w swoim czasie i szeroko omawianych zbiorów „Rzemiosła" i „Przemysły".

Braun urodził się w roku 1902. Szkołę średnią ukończył w Łodzi, później na pewien czas przeniósł się do Warszawy, gdzie studiował prawo. Wróciwszy następnie do rodzinnego miasta, osiadł już w nim na stałe. Od tej pory, obok pracy zawodowej, poświęcił się twórczości poetyckiej, o czym jednak wiedzieli tylko jego najbliżsi. Poeta ukrywał się z pisaniem wierszy obawiając się widocznie ośmieszenia czy niezrozumienia w swym środowisku.

Poezję zaczął uprawiać właściwie znacznie wcześniej. Młodzieńcze utwory Brauna zamieszczała już prasa polska w latach pierwszej wojny światowej. Jako swojego rodzaju ciekawostkę warto przypomnieć jego wiersz „Aniołowie-robotnicy", wydrukowany w roku 1921 w formie afisza i rozlepiony na ulicach miasta. Już sam tytuł wiersza, a szczególnie sposób jego rozpowszechniania — świadczy o intencji autora powiązania się z ludźmi pracy. Ta idea natchnie wkrótce Brauna do napisania kilku cykli wierszy, które złożą się na pierwsze dwa tomy jego poezji.

Pochwalam żmudną pracę wszelkiego rzemiosła,
Dłonie twarde, jak ręce żeglarzy od wiosła,
Nożyce, szydło, pędzel, obcęgi i pilę,
Dojrzałą sztukę palców, z których twórczą siłę
Czerpie każdy, schylony nad światem warsztatów,
Podobnych do skrytego gdzieś warsztatu światów.

Po tej introdukcji następuje szereg utworów, w których poeta opiewa pracę szewca, krawca, zegarmistrza, stolarza, kowala. W pracy ich dostrzega nie tylko wysiłek, ale i piękno, treść niezwykłą, równającą te czynności z czynnościami „przedwiecznego tworzenia". A stąd już tylko krok do mianowania nowych bogów:

Witajcie, nowi bogowie! Witajcie nowymi czasy:
Apollo przy tkackim warsztacie, Zeus w elektrowni zaklęty,
Atene wielkich przemysłów, sił świeżych pełna i krasy,
Hefajstos w piecach fabrycznych, Neptun pędzący okręty,
...Witajcie nowi bogowie! W dojrzałym zjawieni cudzie!
O, muzo, śpiewaj przemysły! O muzach śpiewajmy ludzie!

Skąd wzięły się te nowe muzy, jakimi drogami nadeszli nowi bogowie? Odpowiedzi na to pytanie udziela krytyk z lat międzywojennych, Ludwik Fryde, który we wstępie do „Antologii poezji polskiej 1918—1938" pisze m.in.:

„Rewolucyjny okres powojenny mija: nadchodzą lata stabilizacji społecznej i gospodarczej. Hegemonia polityczna Francji w Europie wiedzie do hegemonii duchowej, zwłaszcza, że jest to okres rozkwitu francuskiego geniusza. Odradzają się ideały klasyczne: umiar, równowaga uczucia i rozumu, jasność i precyzja wyrazu. Na miejsce dawnego „naturalizmu" w poezji ideałem artystycznym staje się umiarkowany realizm, poezja konkretu. „Skamander" otwiera bramy dla nowych autorów: Brauna, Lieberta, Słobodnika, Jastruna. Są to następcy Skamandrytów, realiści i neoklasycy. Obok poezji rewolucyjnej osiągającej punkt kulminacyjny w wierszach Broniewskiego, pojawia się poezja pracy, realistyczny temat ujęty w regularną, klasyczną formę."

Mieczysław Braun jest jednym z czołowych przedstawicieli pokolenia, które w taki właśnie sposób zaczyna pojmować poezję:

O poezjo, dysząca tchnieniem pracy szarej,
Świat świeży, jak świat-ogród, wyśnij mi, wyczaruj!

Jednym z najlepszych wierszy tego cyklu jest wiersz pt. „Bateria". Znamienne są rekwizyty, z których Braun wyprowadza słowo poetyckie:

Jeżeli razem złożyć cynk i miedź z żelazem
I zanurzyć do kwasu żrącego metale,
Wtedy zygzakiem iskry drgną tajemne fale,
Wywołane z baterii odwiecznym rozkazem.
Tak samo, jeśli wyraz ułożyć z wyrazem,
Zwilżyć krwią i przetopić w najszczerszym zapale
I twardej poddać próbie jak hartowne stale,
Błyśnie wiersz złotem, cynkiem, miedzią i żelazem.
Magnetycznych pierwiastków bogata rozliczność
Gromadzi moc tajemną, co nagle wytryska,
Prądem płynie do serca poetycka iskra,
Jak elektryczność jasna, drżąca elektrycznść...

W cyklu wierszy „O Łodzi Fabrycznej" wyobraźnią poety włada rytm pracy i wysiłek rąk ludzkich, zgiełk i ruch, twórczy pęd maszyn. Praca jest tu pojęta jako absolutny, uświęcający cel życia ludzkiego:

Warkocze dymów kłębami nad Łodzią czarną płyną,
Robocza kurzawa ulic w niebo uderza ofiarnie,
Czeszą je w górze szczerbate grzebienie wzniosłych kominów,
Wszystkie warsztaty turkocą, palą się wszystkie latarnie.
W kościołach czerwonych fabryk krążą pospiesznie i gwarnie
Pasy szumiące i dźwignie i dyszą płuca olbrzymów,
Spieszą się tkalnie, przędzalnie, wrą kolorowe farbiarnie
Pieśnią twórczego rozpędu, tryskają strofami hymnów!
Kwitnie w motorach i syczy błękitny sen — acetylen,
W południe dzwoni hejnałem tysiąc blaszanych syren,
Na czarnych walcach owite rosną radosną potęgą:
Sukno, alpaga i korty, grube włochate marengo —
W halach fabrycznych włókniarze stęsknione unoszą twarze,
Przy nabożeństwie warsztatów turkocą maszyn ołtarze.

Następny zbiór wierszy Mieczysława Brauna „Liść dębowy" wydany został w roku 1929. „Poezję pracy" zastępuje w nim liryka miłosna oraz „poezja przyrody". W dwóch kolejnych zbiorach wierszy: „Żywe stronice" i „Sonety" poeta zwraca się całkowicie ku życiu wewnętrznemu. Są to już lata 1936—1937, kiedy na horyzont naszego kraju zaczynają napływać pierwsze chmury. Dominujący ton „Sonetów" i „Żywych stronic" to nieokreślony smutek, zaduma istnienia przeplatająca się ze wspomnieniami młodości, wreszcie — świadomość nadchodzącego kataklizmu dziejowego i osobistego.

Mieczysław Braun zmarł w czasie wojny w Warszawie, w roku 1942.

Dokończenie w następnym numerze

Witold Justyna „Ja"

GRUNWALD W ŚWIADOMOŚCI POLAKÓW

Ostróda powitała nas nie tylko piękną, nareszcie wiosenną tego lata pogodą. Przybywający tu uczestnicy ogólnopolskiej sesji naukowej „Grunwald w świadomości Polaków" od pierwszego swego spotkania z tym pięknym i niezmiernie ambitnym miastem mogli się naocznie przekonać, że sesja — pomyślana jako kulminacyjny moment odbywających się w dniach od 6 do 14 czerwca tego roku Dni Ostródy — spotyka się z naprawdę żywym zainteresowaniem miejscowego społeczeństwa. Została ona zorganizowana przez Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Olsztynie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Ostródzkiej „Grunwald", Zarząd Główny ZBoWiD oraz Społeczny Komitet realizacji i zagospodarowania pola bitwy i tras grunwaldzkich, zaś patronat nad tą naukową imprezą objęli: Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Zarząd Główny ZBoWiD i Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Nie sposób jest w krótkim sprawozdaniu wspomnieć o wszystkich inicjatywach, jakie złożyły się na tegoroczne, obchodzone już po raz czwarty Dni Ostródy. Trzeba jednak rzec o tym, co nam, uczestnikom sesji, rzuciło się tu w oczy szczególnie silnie: klimat społecznego zaangażowania, wyzwalający ogromne zasoby ludzkiej energii i pozwalający, mimo ograniczonych środków, na osiąganie sukcesów, znaczących w skali całego miasta. Nie ma tu miejsca na przeciwstawienie: „my" i „oni" — to, co się w Ostródzie tworzy — czy to będzie odbudowa miejscowego zamku, który stanie się niebawem ośrodkiem kultury, czy zrealizowana w ramach ostatniego czynu partyjnego modernizacja plaży, na którą w pogodne dni ściągają setki ostródzian — wszystko to jest pokazywane z dumą przybyłym tu gościom jako wspólny dorobek wszystkich: władz politycznych i administracyjnych, licznego miejskiego aktywu społecznego, robotników i młodzieży, wszystkich ostródzian.

Ostródzka sesja grunwaldzka w niczym też nie przypominała, jakże często dziś organizowanych, tzw. sesji popularno-naukowych, na których nie mówi się o niczym nowym, a tylko powtarza raz jeszcze to, co na dany temat było od dawna wiadome. Referat wprowadzający p.t.: „Bitwa Grunwaldzka. Przebieg i dziejowe znaczenie" przedstawił prof. dr Marian Biskup z Torunia, niewątpliwie najwybitniejszy dziś znawca problematyki polsko-krzyżackiej w naszym kraju. Nie tylko zarysował on tło i przebieg wydarzeń, ale zwrócił uwagę słuchaczy na szereg zagadnień dyskusyjnych, co do których nauka historyczna nie powiedziała jeszcze swego ostatniego zdania, a które być może rozjaśnią podejmowane już w najbliższych dniach nowe badania archeologiczne na polu grunwaldzkim, organizowane przez prof. dr Andrzeja Nadolskiego z Łodzi. Kolejnym referentem był piszący te słowa: w swym obszernym referacie starałem się ukazać, jak bitwa grunwaldzka odzwierciedliła się w świadomości społeczeństw europejskich w XV w., jakie były jej echa w różnych krajach, jak wreszcie zaważyła ona na opiniach obcych na monarchię jagiellońską i Zakon Krzyżacki. Zagadnieniu „Bitwa Grunwaldzka a dorobek polskiej nauki prawa międzynarodowego XV w." poświęcony był kolejny referat, napisany przez wybitnego specjalistę z zakresu prawa międzynarodowego prof. dr Alfonsa Klafkowskiego z Poznania. O odzwierciedleniu Grunwaldu w świadomości dawnych pokoleń Polaków mówił prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego prof. dr Henryk Samsonowicz, zaś bitwie grunwaldzkiej w świadomości współczesnych generacji poświęcił swój referat naczelny dyrektor Archiwów Państwowych, prof. dr Tadeusz Walichnowski. Ostatni referat — wobec nieobecności prof. dr Wiktora Zina, który nie mógł osobiście przybyć na sesję — wygłoszony został przez przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki i dotyczył rządowego programu zagospodarowania pola grunwaldzkiego i okolic, którego realizacja zostanie podjęta już w najbliższym czasie.

Największa sala konferencyjna Ostródy — sala posiedzeń Urzędu Miejskiego — nie mogła pomieścić wszystkich zainteresowanych obradami sesji. Uczestniczyli w niej — prócz referentów — liczni historycy z całego kraju, miejscowi działacze polityczni i społeczni, przedstawiciele ZBoWiD i innych organizacji. Kiedy prof. dr Tadeusz Walichnowski przypomniał w swym referacie dzieje pierwszej, wielkiej manifestacji na polach grunwaldzkich, która odbyła się w 1945 r. z udziałem ówczesnego prezydenta KRN Bolesława Bieruta, sala zgotowała spontaniczną owację przewodniczącemu w tym momencie obradom gen. prof. dr Stanisławowi Okęckiemu, który z ramienia Ludowego Wojska Polskiego był niegdyś organizatorem tej właśnie uroczystości. Przebieg sesji potwierdził raz jeszcze przekonanie, które żywię chyba nie tylko ja sam, mianowicie, że jest więcej niż celowe organizowanie poważnych naukowych konferencji nie tylko w wielkich ośrodkach naszego kraju, ale przede wszystkim w mniejszych. Warszawa, Łódź i inne wielkie miasta, w których odbywa się po paręset sesji i konferencji z najróżniejszych dziedzin nauki w każdym roku, tak się już do nich przyzwyczaiły, że zainteresowanie obradami bywa tu niejednokrotnie znacznie słabsze, niż właśnie w ośrodkach mniejszych. Tam, jeśli program jest rzeczywiście interesujący i pojawiają się wybitni specjaliści z całego kraju, nikt nie musi „organizować" — jak się to mówi — frekwencji, by zaproszeni goście nie mówili do pustej sali, a słuchacze wcale się nie rozchodzą, gdy dyskusja przeciągnie się poza zaplanowany czas do późnych godzin wieczornych. Tak właśnie było w Ostródzie.

Z okazji sesji Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych wydała okolicznościową plakietkę w brązie „Grunwald w świadomości Polaków", którą otrzymali przedstawiciele władz Ostródy, referenci oraz goście. Materiały tej konferencji jeszcze w tym roku zostaną wydane drukiem w wersjach polskiej i angielskiej; mimo znanych trudności wydawniczych odpowiednie środki oraz „moce przerobowe" zostały już przez organizatorów zapewnione. Rozjeżdżaliśmy się z Ostródy w przekonaniu, że uczestniczyliśmy w imprezie rzeczywiście udanej i potrzebnej, wynosząc wrażenia, które na długo utrwalą się w naszej życzliwej dla tego miasta pamięci.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Z OKAZJI 35-lecia działalności Związku Polskich Artystów Plastyków w Domu Technika odbyło się uroczyste walne zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze członków łódzkiego okręgu ZPAP. W uroczystości udział wzięli: sekretarz KŁ PZPR — **Genowefa Adamczewska**, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KŁ PZPR — **Józef Olbryk**, wiceprezydent Miasta Łodzi — **Zbigniew Polit** oraz przedstawiciele Zarządu Głównego ZPAP.

Podczas spotkania Honorowymi Odznakami m. Łodzi udekorowano zasłużonych łódzkich plastyków: **Janinę Dudzikowską, Jadwigę Janus, Tadeusza Sprusiaka, Kazimierza Karpińskiego, Zygmunta Kuligowskiego i Juliana Bartczaka.** Medale ZPAP „Za zasługi w rozwoju sztuki" otrzymali: **Józef Kobiela, Bernard Kepler, Henryk Pawlak** oraz **Adam Fudała.** Złotymi odznakami ZPAP uhonorowano: **Wiesława Garbolińskiego, Benona Liberskiego, Leszka Rózgę i Jerzego Jankowskiego.** Medale pamiątkowe ZPAP wręczono: **Zdzisławowi Zimnemu i Bolesławowi Urbańskiemu.**

ODBYŁY SIĘ wybory do władz zarządu Okręgu ZPAP. Prezesem został **Andrzej Gieraga.**

15 CZERWCA na Małej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera współczesnej sztuki radzieckiej **Grigorija Gorina „Fenomeny".** Spektakl reżyserował **Jerzy Hutek**, scenografię opracował **Jan Polewka.** Udział wzięli m.in.: Bogusława Pawelec, Zofia Tomaszewska, Andrzej Głowski, Jan Hencz, Włodzimierz Kwaskowski, Jan Peszek i Jan Zdrojewski.

KRONIKA KULTURALNA

DUŻA SCENA Teatru Nowego zaprasza na premierę najnowszej sztuki **Edwarda Redlińskiego** 20 czerwca. Sztuka nosi tytuł „Pustaki", reżyserem jej jest **Feliks Falk**, scenografię zaprojektowała **Wiesława Konopelska i Alan Starski.**

ZAKOŃCZYŁ SIĘ X Konkurs na recenzję teatralną. Organizatorami imprezy, która trwała przez cały rok byli Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz TPL. W konkursie wzięło udział 1623 uczniów z 21 szkół, przedmiotem analizy stały się 33 tytuły przedstawień.

Jury wyróżniło nagrodą specjalną **Tomasza Świeczyńskiego** z XXIX LO i przyznało 10 równorzędnych nagród, które otrzymali: **Wiktor Malinowski, Joanna Duczak, Jadwiga Berłowska, Iwona Bańkowska, Joanna Kowalska, Jarosław Czarczyński, Witold Orłowski, Anna Wojcik, Urszula Nowicka i Krzysztof Kwiatos.**

Ponadto przyznano 26 wyróżnień indywidualnych i dyplomy dla szkół.

W ROKU BIEŻĄCYM podobnie jak w latach poprzednich Filharmonia Łódzka proponuje swoim sympatykom symfoniczne koncerty ogrodkowe. W minioną sobotę i niedzielę koncerty takie odbyły się w amfiteatrze na Widzewie i w muszli koncertowej parku im. A. Mickiewicza. Orkiestra wystąpiła pod dyrekcją **Zdzisława Szostaka.**

W GALERII 78 mieszczącej się w Osiedlowym Domu Kultury RSM — Osiedle Młodych (Bratysławska 8a) czynna była wystawa malowanych kwiatów **Stanisława Wiśniewskiego.**

JĘZYK ESPERANTO staje się coraz popularniejszy nie tylko w Łodzi, ale w całym kraju. Przykładem wzrastającego zainteresowania tym językiem może być wieczór literacki przy świecach, poświęcony poezji i prozie esperanckiej, a zorganizowany w nowo otwartym bistro „Starówka" na Starym Rynku. Organizatorzy zapowiadają kontynuację imprez tego typu.

W KRYNICY zainaugurowano XIV Festiwal Arii i Pieśni im. Jana Kiepury. Festiwal rozpoczął koncert z udziałem laureatów ogólnopolskiego konkursu wokalnego dyplomantów i absolwentów akademii muzycznych i państwowych wyższych szkół muzycznych. Zdobywcą pierwszej nagrody w tym konkursie jest łodzianin **Mieczysław Łaba.** Także trzecia nagroda przyznana została mieszkańcowi naszego miasta **Janowi Zakrzewskiemu.**

ZAKOŃCZYŁ SIĘ XVI Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Miło nam poinformować czytelników, że wśród laureatów znalazła się łodzianka **Ewa Rutkowska i Bogdan Leśniewski** z Pabianic.

NA ZORGANIZOWANYM w maju br. w Los Angeles międzynarodowym konkursie plakatów filmowych, polskim grafikom przyznano następujące wyróżnienia w kategorii europejskiej: drugą nagrodę **Waldemarowi Świerzemu** za plakat „Lekcja martwego języka", trzecią — **Andrzejowi Pągowskiemu** za plakat „Imperium namiętności", dwa wyróżnienia dla **Andrzeja Pągowskiego** za plakat do filmu „Amator" i dla **Lecha Majewskiego** do filmu „Gospodarz stadniny". Ponadto w kategorii specjalnej pierwszą nagrodę przyznano **Markowi Freudenreichowi** za plakat „Film polski 1954—1979".

W WARSZAWIE 16 bm. odbyła się uroczystość wręczenia dorocznych nagród przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji za twórczość oraz działalność radiową i telewizyjną. Przyznano ogółem 49 nagród indywidualnych i zespołowych.

W uroczystości uczestniczyli: kierownicy wydziałów KC PZPR Prasy, Radia i Telewizji — **Kazimierz Rokoszewski** i Pracy Ideowo-Wychowawczej — **Wiesław Bek** oraz przedstawiciele stowarzyszeń i środowisk twórczych.

Nagrody I stopnia uzyskali: **Zofia Rysiówna, Wanda Łuczycka, Henryk Borowski, Gustaw Holoubek, Henryk Debich, Józef Patkowski, Aleksander Wieczorkowski, Henryk Kollat, Bohdan Sienkiewicz, Czesław Niemen i Wojciech Młynarski.**

Z OKAZJI 75 rocznicy Rewolucji 1905 roku odbędzie się 20 czerwca w amfiteatrze widzewskim widowisko plenerowe światło — dźwięk pt. **„Myśmy tych dni nie zapomnieli".** W widowisku według scenariusza **Jana Pawła Kruka** i **Wiesława Szczepańskiego** wystąpią artyści scen łódzkich, studenci PWSFTviT oraz zespoły artystyczne Zakładowego Domu Kultury im. Obrońców Pokoju i młodzież szkół widzewskich.

BAŁTYCKA AGENCJA ARTYSTYCZNA zaprosiła na gościnne występy do Gdańska i Sopotu Łódzki Teatr Nowy. W Sali Opery i Filharmonii Bałtyckiej Teatr Nowy wystąpi ze sztuką Sławomira Mrożka „Vatzlav", zaś w sopockim teatrze letnim pokaże sztukę Moliera „Lekarz mimo woli".

75 ROCZNICA „DNI CZERWCOWYCH"

W sobotę 14 czerwca 1980 roku, odbyły się w Łodzi uroczystości związane z 75 rocznicą wybuchu „powstania czerwcowego" z 1905 roku. W uroczystościach tych wzięli udział między innymi: członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — **Jerzy Łukaszewicz**, kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — **Jerema Maciszewski**, kierownik Wydziału Pracy Ideologicznej — **Wiesław Bek**, władze polityczne i państwowe miasta z I sekretarzem KŁ PZPR — **Bolesławem Koperskim** i prezydentem m. Łodzi — **Józefem Niewiadomskim** oraz przedstawiciele władz partyjnych i państwowych z Piotrkowa Tryb., Skierniewic i Sieradza.

W Łódzkim Ośrodku Kształcenia Ideologicznego z inicjatywy Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR, Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR, Instytutu Historii UŁ i „Głosu Robotniczego" odbyła się sesja popularnonaukowa: „REWOLUCJA 1905—1907 ROKU NA ZIEMIACH POLSKICH". Na sesji referaty wygłosili: prof. **Władysław Bortnowski** — „Rewolucja 1905 roku próbą generalną Wielkiego Października", prof. **Stanisław Kalabiński** — „Społeczeństwo polskie w Rewolucji 1905 roku", doc. **Barbara Wachowska** — „Miejsce Łodzi w Rewolucji 1905 roku"; komunikaty naukowe: dr **Paweł Samuś**, prof. **Helena Brodowska** i dr **Bolesław Pełka.** Dyskusję zagaił **Jerema Maciszewski.**

W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego otwarto wystawę: „Razem z robotnikami całej Rosji".

Wieczorem u stóp Pomnika Czynu Rewolucyjnego odbyła się manifestacja społeczeństwa Łodzi. Złożono wieńce pod pomnikiem, a następnie zebrani obejrzeli program artystyczny pt. „Nieś go synku wysoko". Program przygotowali: scenariusz — **Włodzimierz Łuszczykiewicz**, reżyseria — **Jerzy Woźniak**, kierownictwo muzyczne — **Andrzej Rokicki**, scenografia — **Jerzy Groszang.** Wystąpili **aktorzy scen łódzkich.**

(M. R.)

W sobotę i niedzielę, 14 i 15 czerwca 1980 roku, odbywały się uroczystości związane z obchodami 35 rocznicy powstania gazety partyjnej „Głosu Robotniczego". Na uroczystości te przybył członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — **Jerzy Łukaszewicz**, kierownik Wydziału Pracy Ideologicznej, wieloletni pracownik „GR", **Wiesław Bek**, I sekretarz KŁ PZPR — **Bolesław Koperski**, I sekretarz KW PZPR w Piotrkowie Tryb. — **Stanisław Składowski**, I sekretarz KW PZPR w Skierniewicach — **Janusz Kubasiewicz**, sekretarz KW PZPR w Sieradzu — **Jan Dębowski**, prezydent m. Łodzi — **Józef Niewiadomski** oraz przedstawiciele władz administracyjnych **z Piotrkowa, Skierniewic i Sieradza.**

Na uroczystości „Głosu Robotniczego" przybyli także byli dziennikarze tej gazety pracujący obecnie w różnych instancjach partyjnych, instytucjach, agencjach, dziennikach i pismach, a także przedstawiciele zaprzyjaźnionych dzienników z krajów socjalistycznych.

Zasłużeni pracownicy redakcji otrzymali odznaczenia państwowe oraz honorowe odznaki.

Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał redaktor naczelny „GR" — **Jan Pakuła.**

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski: zastępca redaktora naczelnego — **Stefan Kotlarek,**

35 LAT „GŁOSU ROBOTNICZEGO"

Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski: **Marian Bańbura** i **Wiesław Cynkier.**

Poza tym pracowników redakcji „GR" odznaczono Złotymi, Srebrnymi i Brązowymi Krzyżami Zasługi, Honorową Odznaką m. Łodzi, odznakami: „Za zasługi dla województwa piotrkowskiego", „Za zasługi dla rozwoju województwa skierniewickiego", „Medalem 400-lecia ustanowienia Trybunału Piotrkowskiego", odznakami „Zasłużonego działacza kultury" oraz „Za zasługi dla RSW „Prasa — Książka — Ruch".

W sobotę nagrodzeni, pracownicy redakcji i czytelnicy „Głosu Robotniczego" spotkali się na koncercie w Teatrze Wielkim, a w niedzielę na festynie „Głosu Robotniczego" na Zdrowiu.

Festyn przerwała gwałtowna burza, jaka w niedzielę, 15 czerwca 1980 roku około godziny 17 przeszła nad Łodzią.

(LB)

ULICAMI PŁYNĘŁA WODA

Meteorolodzy obliczyli, że w ciągu niespełna trzech godzin opady deszczu osiągnęły poziom 90 mm, co przy średniej krajowej 450—650 mm w ciągu roku dało miastu niemal dwumiesięczną „normę" deszczowej wody.

Niedziela, 15 czerwca 1980 roku. Dobiega godzina 16. Ulewa, która zerwała się nagle, przez cały czas przybiera na sile, żeby osłabnąć nieco dopiero po dwóch godzinach.

U schyłku burzy wyjeżdżam samochodem na ulice Retkini. Z Retkińskiej skręcam w ul. Thälmanna, zmierzając w stronę ronda, od którego jednak nadjeżdżają „pod prąd" samochody. Dalej bowiem cała jezdnia pod wodą, w której ugrzązł autobus.

Ruszamy więc — w sznurze samochodów — z powrotem do Retkińskiej, a stamtąd przez ul. Fornalskiej do Bratysławskiej. — *Do cholery jasnej, gdzie się pchają, tam przecież nie przejadą!* — klnie któryś z kierowców, bo w kierunku, z którego my wracamy, podążają inne samochody. Ścisk się robi coraz większy, setki samochodów — powoli, na światłach, w deszczu — kręcą się w tę i z powrotem. Wjazd na rondo od Bratysławskiej również niemożliwy. Trzeba się czym prędzej wydostać, bo lada moment powstanie tu gigantyczny korek. Wielu zmotoryzowanych próbuje się tędy przedostać do miasta w naiwnej nadziei, że nowoczesny wiadukt na ul. Obywatelskiej wytrzymał próbę deszczu. — *Zalany kompletnie, potopione autobusy!* — wyjaśnia jeden ze zbłąkanych przechodniów. Jemu już wszystko jdno: koszulę i marynarkę niesie zwinięte pod pachą, świecąc mokrym torsem.

Próba przedarcia się ul. Wróblewskiego — mimo że nie ma tu wiaduktu — też kończy się fiaskiem. Już z daleka widać stłoczone samochody, które ugrzęzły w rozległym bajorze. Z powrotem więc na Bratysławską. Skrzyżowanie Krzemienieckiej z Karolewską nie wróży nic dobrego: tłok już potworny, a wciąż zjeżdżają kolejne samochody. Metr po metrze — do skrzyżowania z al. Unii, gdzie zawiaduje dyspozytor MPK. Kieruje samochody na północ. Pod wiaduktem koło Dworca Kaliskiego głęboka woda: sięga połowy zatopionego autobusu. Z chodnika, pod wiadukt skacze nagle jakiś mężczyzna. Pijany? Wariat? Nie, próbuje się przedostać na drugą stronę wpław.

I znów — metr po metrze — w górę al. Unii. Tu dopiero wychodzi na jaw cały tragizm sytuacji. W zacinającym deszczu błąkają się setki przemoczonych i zziębniętych ludzi. Faktycznie, dziś na Zdrowiu doroczny festyn „Głosu Robotniczego", którego uczestników — a zawsze ich tysiące — dopadła tu ulewa. Błąkają się teraz, szamocą i miotają — znaleźli się w pułapce: nie ma gdzie się schronić, nie ma czym dojechać do domu, ba, nie można nawet wrócić na piechotę, bo droga odcięta, a nie każdy potrafi pływać.

— *Dalej też nie ma co próbować!* — informuje jeden z kierowców — *wiadukt na Drewnowskiej pod wodą!* — Koło się więc powoli zamyka.

Jeszcze jedna próba — może przez Teofilów? Rozległe bajoro na Krakowskiej daje przedsmak sytuacji. — *Tam też się nie przejedzie!* — ostrzega któryś ze zmotoryzowanych. A więc w stronę Konstantynowa. Akurat z ogrodu działkowego przy Konstantynowskiej wydostają się ostatni działkowicze, brnąc po pas w wodzie. Na szosie ruch niewielki. Przyczyna po kilkuset metrach: z obu stron głębokiego rozlewiska utknęły samochody. Nie ma chętnych. Z desperacją wprowadzam w wodę swojego „malucha". Istnym cudem przepływa on na drugą stronę, bo trudno powiedzieć, że przejeżdża, skoro woda przez drzwi się wlewa. Przez Konstantynów i Pabianice — gdzie zatopioną stację CPN przy ul. Partyzanckiej ominąć trzeba chodnikiem i trawnikami — docieram w końcu, po dwugodzinnych wysiłkach, do Łodzi.

A w centrum? Zalany kompletnie przejazd obok „Uniwersalu". Nieprzejezdne al. Politechniki koło ul. Wróblewskiego. Zatkana Rzgowska i Promińskiego. Pozatapiane piwnice i magazyny. Prawdziwe powodzie w wielu domach, zwłaszcza w nowych blokach, których mieszkańcy szczególnie dotkliwie odczuli skutki budowlanej niesolidności.

Na koniec kilka ogólniejszych spostrzeżeń. Przyroda doświadcza nas ostatnio okrutnie. Po koszmarnej zimie i groźnych powodziach przytrafiło się — tym razem Łodzi i okolicom — kolejne nieszczęście. Czy niecodzienność owych zjawisk atmosferycznych upoważnia nas jednak do traktowania ich jako przysłowiowego dopustu bożego i przechodzenia nad nimi do porządku dziennego? Na pewno nie. U prezydenta miasta Łodzi zwołano naradę związaną z ową katastroficzną ulewą. Nie znamy jeszcze jej wyników, nie wątpimy jednak, że oceni ona całą sprawę wnikliwie i dogłębnie, że wyciągnie wnioski na przyszłość.

Kwestia — na przykład „odcięcia" Retkini od miasta nie jest nowym tematem. Wiadomo, że „wąskie gardła" wiaduktów wymagają szybkiej likwidacji. Kto wie zatem, czy nie należałoby po tak smutnych doświadczeniach zmienić w końcu planów inwestycyjnych, dając bezwzględne pierwszeństwo tym przedsięwzięciom.

Kwestia następna: studzienki ściekowe i kanały burzowe, które nie były w stanie pochłonąć takiej masy wody. I owszem, nie były. W normalnych jednak warunkach — przy byle deszczyku — w tych samych ciągle miejscach zbiera się woda. A więc błędy w projektowaniu? Niesolidność wykonania i nienależyta konserwacja studzienek i kanałów? A pewnie i czekająca wciąż na realizację — grupowa oczyszczalnia ścieków!

Sprawa następna: tabor komunikacji miejskiej, od którego trudno w warunkach katastrofalnych wymagać bezawaryjnej pracy, skoro nawet w normalnych, powszednich nagminnie zawodzi.

Pytania i wątpliwości można by mnożyć. Ostatnia dotyczy służb specjalistycznych. Na pewno ofiarnych i fachowych, ale czy w pełni przygotowanych do totalnych sytuacji awaryjnych?

W czasie akcji „Porządek i bezpieczeństwo" na naszych ulicach i trasach aż się roi od radiowozów i mundurów, gdzie się więc one podziewają w razie większej znacznie potrzeby?

Nasi dzielni strażacy ratowali węzeł telekomunikacyjny i łódzkie elektrownie. Skutecznie. I chwała im za to. Dziwi tylko, że w pierwszych godzinach po burzy na Retkini nie można było spotkać ani jednego wozu strażackiego, podczas gdy aż kilka jednostek działało na... osiedlu domków jednorodzinnych przy ul. Pienistej.

I wreszcie — dlaczego w obliczu klęski żywiołowej pozostawia się wielu mieszkańców miasta bez pomocy i opieki. Tak było przecież z nieszczęsnymi „ofiarami" festynu na Zdrowiu. Skoro nie działała komunikacja miejska, czy nie można było rzucić — na przykład — do akcji tabor milicji i wojska? I tak dalej.

JACEK INDELAK

Foto: R. Łucyszyn

TYDZIEŃ W POLITYCE

Najtrudniejszym problemem doby obecnej są, jak wiadomo, zbrojenia. Z ich trwania, a nawet wzmagania, wynikają dla współczesnego świata największe niebezpieczeństwa. Niosą one po prostu realną groźbę wybuchu konfliktu. Żyjemy na kontynencie europejskim w sąsiedztwie arsenałów, wciąż pęczniejących i to od nowych, coraz groźniejszych, rodzajów i systemów broni. O skali problemu informuje rocznik Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem: **„Światowe zbrojenia i rozbrojenie 1979".** Dowiadujemy się z niego, że wydatki roczne na zbrojenia przekroczyły 410 mld dolarów, a więc łoży się na cele militarne ok. 1 mln dolarów w każdej minucie. Stan zapasów różnego rodzaju broni — nuklearnej i konwencjonalnej — jest takiego rzędu, że przeliczeniowo na każdego mieszkańca globu przypadają już 3 tony materiału wybuchowego.

Dane te są tak wymowne, iż nie wymagają komentarza. Jeśli tylko równolegle uświadomimy sobie, jak angażuje to budżety państw na cele przeciwne człowiekowi, a więc pamiętać będziemy także o ekonomicznym aspekcie zbrojeń — obraz będzie dopełniony.

Jest zrozumiałe, że są gdzieś granice takiego procesu. Im wcześniej przerwany zostanie wyścig zbrojeń, tym dla ludzkości pod każdym względem lepiej. Znane jest czytelnikom bogactwo inicjatyw pokojowych, które w zdecydowanej większości przypadków zgłaszane są przez Związek Radziecki i inne państwa socjalistycznej wspólnoty. Co znamionuje te inicjatywy? Realizm. Zgłaszamy propozycje możliwe do przyjęcia, zachowujące równowagę, ale bądź blokujące dalszy kierunek zbrojeń, bądź prowadzące do obniżenia stanu militarnego wyposażenia.

Niestety — tylko cząstka z nich wprowadzana jest na realne tory. Dlaczego tak się dzieje, wyjaśnijmy na jednym, aktualnym przykładzie.

Dość miejsca poświęciliśmy już przygotowaniom do amerykańskich wyborów prezydenckich, aby wyjaśniać raz jeszcze szanse obecnego prezydenta — J. Cartera. Zajmijmy się tylko interesującym nas teraz aspektem sprawy.

Kiedy Carter startował po raz pierwszy do walki o prezydencki fotel, a więc przed czterema laty, obiecywał **głośno obniżenie wydatków USA na zbrojenia.** Tymczasem w grudniu ub. roku zgłosił pięcioletni plan podniesienia budżetu wojskowego o 4,5 proc. rocznie (po uwzględnieniu skali inflacji). Już w roku bieżącym budżet wojskowy USA ma wynieść 138,6 mld dolarów, czym pobity zostanie swoisty rekord. Ale wydatki — jak to się rzekło przed chwilą — mają rosnąć nadal.

Inicjatorem wzmagania zbrojeń są w Stanach Zjednoczonych koła kompleksu militarno-przemysłowego. Za ich sprawą swego czasu administracja wystąpiła z propozycją produkcji broni neutronowej. Realizacja projektu została odłożona pod wpływem fali protestów. Wykorzystano więc zatarg z Iranem i ukuto teorię o zagrożeniu amerykańskich interesów u źródeł ropy naftowej. Carter powołał „siły szybkiego reagowania", czyli korpus ekspedycyjny, zrywając tym samym z koncepcją Nixona, aby unikać militarnego udziału USA w konfliktach w różnych punktach świata. W grudniu — przypominamy — Stany Zjednoczone przeforsowały w NATO produkcję i rozmieszczenie w Europie zachodniej rakiet średniego zasięgu. Jeszcze później wykorzystywano wydarzenia w Afganistanie.

Z przedwyborczych obietnic Cartera w 1976 roku nie pozostało nic. Nawet nie próbuje wytłumaczyć się z nich, odwrotnie — teraz często głosi konieczność wzmocnienia zbrojeń. Gdzieś przed rokiem powiedział, że „najbardziej płodnym krokiem w kierunku rozbrojenia jest uznanie siły".

Carter, jak wykazały sondaże z ub. tygodnia, ustępuje Reaganowi pod względem szans wyborczych wielkością czterech punktów (40 proc. ankietowanych wypowiedziało się za Reaganem, 36 proc. — za Carterem). Czy z tego można wyprowadzić wniosek dla omawianego tematu? Raczej nie, chociaż coraz więcej Amerykanów zdaje sobie sprawę, że z pozycji siły trudniej, a nie łatwiej, jest rozwiązywać złożone problemy współczesnego świata.

Ze zmienionego, w stosunku do poprzedniej kampanii, stanowiska Cartera i prozbrojeniowych działań obecnej administracji wynika właśnie szereg napięć w sytuacji międzynarodowej.

Czy listopad — data wyborów w USA — spowoduje powrót do dialogu rozbrojeniowego i czy będzie on bardziej skuteczny niż dotąd?

Jedno jest pewne — nie ma innej rozsądnej alternatywy.

W. SŁAWSKI

IWAN STADNIUK

OSTATNIA PRÓBA

Jeszcze nikt nie wiedział co przyniesie jutrzejszy świt...

Trwał upalny dzień 21 czerwca 1941 roku. niczym przedpiekle tragicznej niedzieli, ku której z przyszłych dziesięcioleci ludzie często będą skierowywać pytające spojrzenia. Moskwianie zajmowali się powszednimi kłopotami przygotowując się do cotygodniowego wypoczynku. Słońce podnosiło się coraz wyżej, szczodrze obsypując gorącymi promieniami ulice, domy i skwery stolicy, złote kopuły oraz zieleń kremlowskiego wzgórza.

W jednym z głównych gabinetów gmachu rządu ZSRR siedział za masywnym biurkiem — zagłębiwszy się w dokumentach — zastępca przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSRR.

Mołotow długie lata był szefem rządu. Ale półtora miesiąca temu, gdy na Zachodzie zaczęła nabrzmiewać chmura wojny, a nie wiadomo było jeszcze czy nadpłynie i rozszaleje się uderzeniami armatnich gromów, czy też na razie rzuci jedynie złowieszczy cień na radziecko-niemieckie stosunki, wzniecając polityczno-dyplomatyczną zawieruchę, na przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych powołano Stalina, którego autorytet był bezgraniczny. To, zdaniem rządu radzieckiego, pozwalało skupić w jednych rękach pełnię państwowego i partyjnego kierownictwa, podporządkować życie kraju przygotowaniom do obrony, z uwzględnieniem wciąż jeszcze niejasnej sytuacji militarno-politycznej, jak również maksymalnie skrócić długość politycznych kanałów, służących do kontaktowania się na najwyższym szczeblu z Niemcami, gdyby okoliczności podyktowały taką konieczność.

Jednakże i teraz ani pracy, ani trosk Mołotowowi nie ubyło. Ten sam gabinet, to samo biurko, te same dokumenty, audiencje ludowych komisarzy, dyplomatów, odpowiedzialnych pracowników KC i Rady Komisarzy Ludowych.

Dziś na biurku leżą dokumenty szczególne. Oto adresowany do Stalina list premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla... To drugi list. Pierwszy był w zeszłym roku...

Mołotow popatrzył na zegarek. Za dziesięć minut musi być u Stalina, a z Berlina nic pocieszającego nie nadchodzi. Dziś wczesnym rankiem, radzieckiej ambasadzie w Berlinie przekazano telegraficznie tekst noty werbalnej, z którą radziecki ambasador powinien jak najszybciej zaznajomić ministra spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej von Ribbentropa. Ostatnia próba... W nocie rząd radziecki zdecydowanie domaga się od rządu niemieckiego dokładnych wyjaśnień, dotyczących koncentracji wojsk niemieckich wzdłuż granicy Związku Radzieckiego tudzież proponuje natychmiastową wymianę poglądów na temat stanu stosunków radziecko-niemieckich. Jednakże ambasada radziecka w Berlinie już dwukrotnie powiadamiała telefonicznie, że nie może odszukać ani Ribbentropa, ani jego zastępcy Weizsackera. Bardzo możliwe, że kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec umyślnie uchyla się przed spotkaniem z radzieckimi dyplomatami.

A skoro tak, należy się spodziewać najgorszego.

Mołotow znów spojrzał na zegarek. Wkrótce trzeba iść do Stalina...

* * *

20 sierpnia 1939 roku, gdy angielska delegacja zerwała rokowania misji wojskowych w Moskwie, Hitler ponownie próbował osiągnąć porozumienie ze Związkiem Radzieckim. Poprzez swą ambasadę w Moskwie przesłał Stalinowi telegram, w którym informował, że między Niemcami a Polską *„kryzys może wybuchnąć lada dzień"*. To zaś oznaczało niechybną konfrontację militarną Niemiec ze Związkiem Radzieckim. *„Dlatego raz jeszcze proponuję Panu* — pisał Hitler — *przyjąć mojego ministra spraw zagranicznych we wtorek 22 sierpnia, a najpóźniej w środę 23 sierpnia. Minister spraw zagranicznych Rzeszy będzie posiadał wszystkie nadzwyczajne pełnomocnictwa, niezbędne dla sporządzenia i podpisania paktu o nieagresji..."*

Albo więc nieunikniony początek wojny z Niemcami latem 1939 roku — grożącej przekształceniem się w „pochód krzyżowy" zjednoczonych sił świata kapitalistycznego przeciwko ZSRR — albo układ z Niemcami.

Rząd radziecki uznał za rozsądniejsze zawarcie porozumienia.

23 sierpnia Joachim von Ribbentrop przybył do Moskwy. Tego samego dnia, na Kremlu rozpoczęły się rozmowy, mające na celu opracowanie tekstu radziecko-niemieckiego układu o nieagresji na przeciąg lat dziesięciu. Ribbentrop był nieco strapiony atmosferą powściągliwości, panującą podczas rokowań i nieustannie starał się udowodnić, iż w niemiecko-radzieckich stosunkach następuje nowa era — era przyjaźni i pełnego wzajemnego zrozumienia. Zaproponował nawet umieszczenie tego w preambule układu. Na propozycję ministra Rzeszy Stalin odpowiedział oschle:

— *Rząd radziecki nie mógłby uczciwie upewnić swego narodu w tym, że z Niemcami istnieją przyjazne stosunki, skoro przez sześć lat nazistowskie kierownictwo wylewało wiadra pomyj na rząd radziecki.*

Minęły prawie dwa lata... Dwa wygrane w dyplomatycznych potyczkach lata pozwoliły zrobić bardzo dużo. Mimo to, wojna jak się zdaje, jest nie do uniknięcia. Dzisiejszy dzień — 21 czerwca — staje się groźnym progiem, za którym rozwiera się nieprzenikniona tajemnica przyszłości.

W ludowym komisariacie spraw zagranicznych leżały doniesienia, stwierdzające, że właśnie jutro, 22 czerwca 1941 roku faszystowskie Niemcy napadną na Związek Radziecki. Szyfrowane depesze informowały o siłach, jakie na radziecko-niemieckiej granicy zgromadziło niemieckie dowództwo.

* * *

W przestronnym gabinecie, z łukowato sklepionym sufitem i boazerią z jasnego dębu, przechadzał się po dywanie, dymiąc fajką, niewysoki, krępy człowiek w półwojskowym uniformie i wysokich butach. Jego twarz, jego fajka, były znane z pewnością wszystkim ludziom na planecie. Niespokojne przymrużenie oczu z wyrazem głębokiego zamyślenia, suche, surowo ściągnięte wargi pod siwiejącymi rudawymi wąsami. Odnosiło się wrażenie, iż zabłąkał się w nich obłoczek tytoniowego dymu, zaś w oczach na zawsze osiedliło się zatroskanie.

Kilka kroków od biurka w kierunku drzwi, wzdłuż długiego, pokrytego zielonym suknem stołu, przy którym odbywają się posiedzenia; kilka kroków z powrotem.

Zdawało się, że Stalin, oderwawszy się od spraw, które go śmiertelnie znużyły, oczekuje czyjegoś przyjścia. Istotnie, do gabinetu wszedł Mołotow.

Stalin przywitał go pytającym spojrzeniem.

— *Nic nowego* — pojąwszy wzrok Stalina powiedział Mołotow. — *Dopiero co łączono się z Berlinem. W sztabie Hitlera jakaś ważna konferencji i wszyscy są tam.*

— *Na oświadczenie TASS także nie zareagowali* — ani pytająco, ani twierdząco powiedział Stalin.

— *Tak, towarzyszu Stalin... Cała prasa światowa kipi, a Niemcy nawet nie opublikowali naszego oświadczenia* — odrzekł Mołotow. — *Nie wróży to nic dobrego.*

— *Jeśli ani Hitler, ani Ribbentrop nie uważają za konieczne stosowanie choćby wykrętów* — w głosie Stalina zadźwięczał zabarwiony irytacją niepokój — *a w dodatku unikają spotkania z naszym ambasadorem, to bardzo zły znak.*

— *Amerykańskie i angielskie gazety prześcigają się w opisach naszych przygotowań do napaści na Niemcy. Przytacza się szczegóły, jakieś rzekome fakty.*

— *Ano, widzisz!* — Stalin machnął dłonią z zaciśniętą w niej fajką. — *Jak można im wierzyć? Uprzedzają nas o groźbie agresji, a jednocześnie zajmują się prowokacjami, by możliwie najszybciej tę agresję wywołać.*

— *Siedziałem teraz nad dokumentami* — — w zamyśleniu odezwał się Mołotow — *i przypomniała mi się przeszłość. Cały czas mam przed oczyma podwójną grę, jaką z nami prowadzą Anglicy.*

— *Nie tylko z nami, lecz i z Niemcami!* — uściślił Stalin, wsłuchując się w donoszące się z kremlowskiej wieży dźwięki kurantów. — *Dawnośmy odkryli zasadniczą formułę ich polityki. To oni zawsze stawiali przed Hitlerem dylemat: albo napadaj na Związek Radziecki, albo my się z nim dogadamy i rozgromimy Niemcy. A dla pewności prowadzili z nami rozmowy. Czyż to nie podwójna gra...? Teraz zaś, gdy padła Francja, gdy Wyspom Brytyjskim grozi niemiecka inwazja, Anglia uprzedza nas o niebezpieczeństwie. Przecież to jasne, że te ostrzeżenia nie są podyktowane szczerością... Początek pochodu Niemiec na Związek Radziecki — to ratunek dla Anglii...*

— *To, logiczne* — zgodził się Mołotow. — *Zwłaszcza, jeśli się przypomni, iż całkiem niedawno Anglia wraz z Francją postarały się o wykluczenie nas z Ligi Narodów, a nasz konflikt z Finlandią o mały włos nie został wykorzystany jako pretekst do napaści na Związek Radziecki z północy i południa.*

— *Otóż to!* — Stalin ożywił się i possawszy fajkę dmuchnął kłębem dymu. — *Idźmy dalej! Przypomnij lato trzydziestego dziewiątego. Anglia podpisuje z Polską układ o wzajemnej pomocy, a gdy po kilku dniach Hitler napada na Polskę, Brytyjczycy nawet palcem nie kiwnęli. Dlaczego...? Mieli nadzieję, że przekroczywszy Polskę, wojska niemieckie pójdą dalej na wschód. Co więcej, Anglia i Francja znajdując się w stanie wojny z Niemcami, mogły wówczas jednym uderzeniem ugodzić swego przeciwnika w samo serce. Przecież główne siły niemieckie były zaangażowane w Polsce, a na linii Zygfryda znajdowało się zaledwie jakieś dwadzieścia dywizji rezerwistów, podczas gdy Francuzi mieli przeszło sto dywizji... Nie zdecydowali się. Nie zechcieli. Dla nich ważne było zachowanie niemieckich sił dla napaści na ZSRR... Myśmy rozbili ich blok, uniknęliśmy wojny na dwa fronty. Na Wschodzie siłą oręża i elastycznością polityki poskromiliśmy Japonię, na Zachodzie otrzymaliśmy gwarancje ze strony Niemiec.*

* * *

Mołotow wstał, podszedł do biurka, za którym siedział zgarbiwszy się, niczym pod ogromnym ciężarem, Stalin i cicho zapytał:

— *Przypuszczasz, że niemiecka armia nie ośmieli się naruszyć naszej granicy?*

— *Nie, tak nie sądzę* — po chwili ciężkiego milczenia, z ledwie zauważalnym rozdrażnieniem odpowiedział Stalin. — *Po prostu nie jestem do końca przekonany, że Hitler odważy się na bezpośrednią agresję.*

Znów zamilkł, włożywszy do ust fajkę. Possał ją energicznie, dmuchnął strugą dymu, nerwowo przy tym ruszając wąsami.

— *Pomyślmy jeszcze o jednym... Zaledwie dwa miesiące temu podpisaliśmy z Japonią układ o neutralności. Japonia to przyjaciel Niemiec i partner w rozbojach. Dlaczego miałaby zawierać z nami układ, gdyby Hitler planował tak prędkie zaatakowanie ZSRR? Czyż Hitlerowi, skoro zamierza z nami wojować, nie wygodniej by było, gdyby na Wschodzie wisiał nad nami miecz?*

— *Tak, lecz gdy Hitler zaproponował nam podpisanie paktu o nieagresji, także nie konsultował się z Japonią. I pamiętasz czym się to zakończyło — pogorszeniem się stosunków między nimi oraz dymisją rządu japońskiego.*

— *Jednakże nie przeszkodziło to Japonii w podpisaniu porozumienia z nami* — Stalin krótko się roześmiał i pogładził dłonią swoje szczeciniaste, rudawe wąsy. — *Ale wciąż wracam do tego, o czym mówiłem: różnica systemów społecznych mimo wszystko nie wyklucza zachowania minimum norm moralnych w stosunkach między państwami. Zgodnie z tymi normami państwa powinny wypełniać wynikające z umów obowiązki, w przeciwnym bowiem przypadku istnienie różnorodnej międzynarodowej społeczności staje się niemożliwe. Napaść Niemiec na nas bez najmniejszego z naszej strony pretekstu stanie się wyzwaniem rzuconym światowej opinii publicznej... Czyżby Hitler był na tyle cyniczny i głupi, by zdecydować agresję nie troszcząc się o motywy, które można by wysunąć na własne usprawiedliwienie przed innymi narodami?*

— *Hitler to rozzuchwalony awanturnik!* — powiedział Mołotow. — *Po nim można oczekiwać wszystkiego.*

— *Tym niemniej musimy dokładnie wiedzieć jaka będzie reakcja rządu niemieckiego na nasze ostatnie oświadczenie.*

— *Zaproszenie do przybycia na Kreml zostało już Schulenburgowi wysłane.*

— *Należy mu postawić pytania bez ogródek, niezależnie od tego, co zostało napisane w nocie werbalnej. I zażądać, by własnymi kanałami natychmiast skontaktował się z Ribbentropem.*

— *Tak właśnie zaplanowałem nasze spotkanie* — odrzekł Mołotow.

* * *

Ludowy komisarz spraw zagranicznych kolejny raz odczytywał w swoim gabinecie tekst noty werbalnej, adresowanej do rządu niemieckiego, której ambasada radziecka w Berlinie do tej pory nie mogła przekazać Ribbentropowi i z treścią której należało możliwie najszybciej zaznajomić ambasadora niemieckiego w Moskwie, hrabiego Schulenburga. Na oddzielnej kartce spisane były pytania, jakie Mołotow zamierzał postawić Friedrichowi Schulenburgowi.

Był to, jak się zdaje, pierwszy przypadek w praktyce ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR, kiedy to z takim napięciem oczekiwał on przyjazdu przedstawiciela obcego państwa. Nadeszły nowe informacje, że wojna nie dziś, to jutro... Czy uda się rozpocząć rozmowy z rządem niemieckim, a w ich trakcie raz jeszcze spróbować zapobiec napaści wojsk niemieckich, lub choćby ją odroczyć... Należy wykorzystać wszystkie możliwości.

Friedricha Schulenburga nie było ani w ambasadzie, ani w domu. Odpoczywał gdzieś za miastem... Ale czy będzie mógł cokolwiek uczynić niemiecki ambasador, jeśli Hitler ze sprecyzowanymi planami podciągnął ogromne siły ku granicom ZSRR i rzeczywiście odważy się rozpocząć wojnę...?

* * *

Oczekując przybycia niemieckiego ambasadora Mołotow myślał o tym, że skoro niemieckie wojska gotowe są do napaści na Związek Radziecki, to znaczy, że już wówczas, w listopadzie zeszłego roku, Hitler powziął taką decyzję. A więc radziecka delegacja nie popełniła omyłki, nie dała powodów niemieckim dyplomatom zaprezentowania światu Związku Radzieckiego w roli państwa, zainteresowanego rzekomo cudzymi terytoriami. Jeżeli przeto rzeczywiście lada moment zacznie się wojna z Niemcami, można mieć nadzieję, iż Związek Radziecki nie pozostanie osamotniony.

Zadzwonił stojący obok telefon.

— *Co nowego?* — pytał Stalin.

— *W Berlinie bez zmian, a Schulenburga nie ma w mieście. Posłano po niego.*

— *Obawiam się, że nasze wysiłki już nie mają sensu* — w głosie Stalina dało się słyszeć przygnębienie.

Mołotow milczał, mając wrażenie, że słuchawka w jego ręce lodowacieje.

— *Właśnie dzwonił Żukow...* — powoli kontynuował Stalin. — *Do pograniczników kijowskiego okręgu przeszedł niemiecki feldfebel...* — nastąpiło milczenie i Mołotow usłyszał jak Stalin zawzięcie ssał ustnik. Potem, głośno wydychając tytoniowy dym, powiedział: — *Jeśli ten feldfebel nie jest nasłanym prowokatorem, jutro rano Niemcy rozpoczną działania wojenne przeciwko nam.*

Mołotow wręcz zapomniał, iż rozmawia przez telefon — z tak bliska, z taką wyrazistością dobiegał stłumiony głos Stalina i słychać było jego niespokojny oddech.

Stalin zamilkł. Milczał również Mołotow. Potem, leciutko się zacinając, spytał:

— *Co mamy robić, towarzyszu Stalin?*

— *Przychodź na posiedzenie Biura Politycznego. Zaraz zjawią się Timoszenko z Żukowem.*

Porozmawiawszy przez telefon z Mołotowem, Stalin odchylił się na oparcie fotela, kierując spojrzenie w przeciwległy kąt swego gabinetu. Przez otwarte okna, między rozsuniętymi spływającymi z sufitu do podłogi zasłonami do pomieszczenia wlewał się przedwieczorny skwar, niosąc z sobą ledwie wyczuwalne zapachy omdlałych od słonecznego żaru kremlowskich gazonów i trawników.

(cdn)

Przełożył: JERZY M. FIEDOSIEJEW

Tytuł publikowanego fragmentu powieści Iwana Stadniuka pt. „Wojna" (Wyd. „Sowremiennik", Moskwa, 1977) pochodzi od tłumacza.

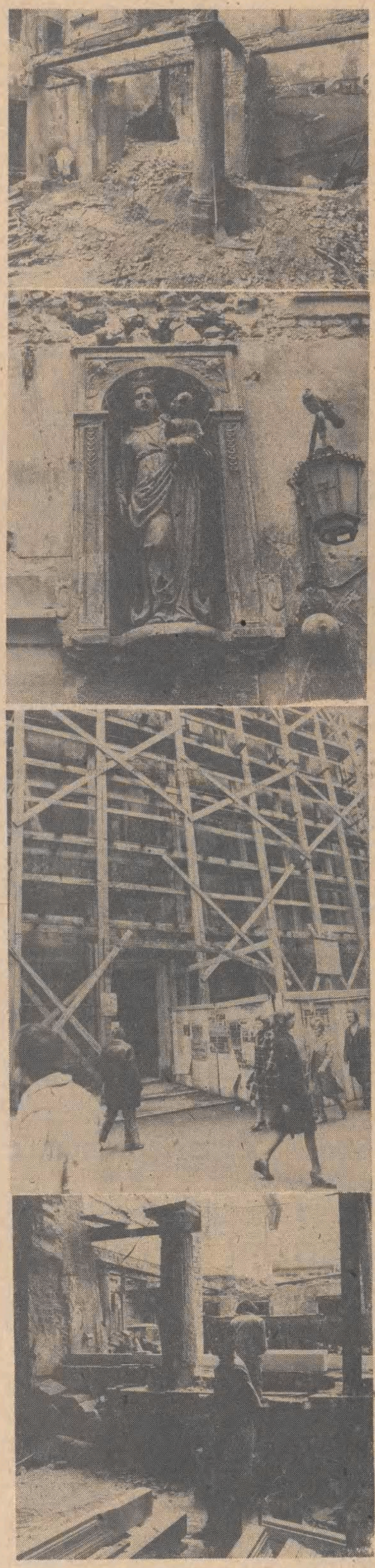

Foto: Autor

RYSZARD ŁUCYSZYN

WIELKA NAPRAWA KRAKOWA

O tym, że miasta starzeją się, wie każdy. Z wiedzy tej jednak na ogół bardzo mało wynika. Ja, na przykład, też wiem, że Kraków to bardzo stare miasto, że nie od razu go zbudowano, że podlega działaniu czasu. Ale wiedza ta do niczego mnie nie pobudzała. Dopiero, kiedy moja miła ciotka, mieszkająca w Krakowie, powiedziała, że jej przyjaciółkę o mało nie zasypało w jej mieszkaniu, prawda o starzeniu się miasta nabrała zupełnie innego wymiaru. To już przestała być wiedza li tylko teoretyczna, to już było coś, co dotknęło mnie niemal osobiście, no bo przecież mojej ciotce też może się zdarzyć podobne nieszczęście.

Postanowiłem zatem bliżej przyjrzeć się temu, co powszechnie nazywamy rewaloryzacją Krakowa, a co jest wielkim remontem miasta, jego wielką naprawą. Jest to ratowanie Krakowa przed działaniem czasu, jak i przed działaniem współczesnej cywilizacji znaczonej wielością dymiących kominów, wyrzucających w atmosferę szkodliwe dla ludzi i domów związki chemiczne.

Podstawę do rewaloryzacji Krakowa dała uchwała Rady Ministrów z 2 sierpnia 1974 roku. Następnie, decyzją prezydenta miasta utworzono Zarząd Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych Krakowa, który prowadzi i nadzoruje wszystkie prace przy odnowie zabytkowego centrum. I zaraz potem zaczęła się normalna budowlano-, remontowo-konserwacyjna działalność, która wyraża się w piątaninie rusztowań, wykopków, stosach cegieł, drzewa, pakamer i wszelkiego innego budowlanego dobra, w którym bez przewodnika połapać się zupełnie nie można. Gdzież więc szukać przewodnika? Oczywiście w Zarządzie Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych Krakowa.

— *Dobrze pan trafił* — *powitał mnie inż. Julian Fąfara.* — *Właśnie mam kilkoro gości, więc pójdziemy wszyscy razem zobaczyć, jak ta rewaloryzacja wygląda od podszewki.*

Zaczęliśmy oglądanie wielkiej naprawy Krakowa od obejrzenia prac prowadzonych w kamieniczce przy ul. Brackiej 10.

Jest to stara, bardzo zniszczona kamienica. Mało efektowna na pozór. I to właśnie tu odnaleziono piękny, renesansowy portal, ukryty pod tynkami z XVIII wieku. Podobnie w kamienicy przy Brackiej 3/5 odnaleziono wczesnogotycką sień. A niedaleko — wspaniałe renesansowe kolumny.

Okazało się, że mimo, iż przed przystąpieniem do prac rewaloryzacyjnych wykonuje się i kompletuje szczegółową dokumentację kamieniczek, wszędzie niemal napotyka się różne niespodzianki. Wtedy kosztowna, bo wynosząca 15 proc. kosztów całej rewaloryzacji, dokumentacja nie na wiele się zdaje i trzeba podejmować nowe decyzje. Co dalej? Z reguły przywraca się budynkowi pierwotny kształt, eliminuje się późniejsze nadbudowy, przeróbki i zniekształcenia. Ale to wszystko na jakiś czas zatrzymuje prace, wydłuża je i w rezultacie powoduje, że różne harmonogramy i założenia można wrzucić do kosza.

Dla laika takie „niespodzianki" nie wyglądają zbyt okazale. Ot, spod odłupanego tynku wystaje kawałek brudnego kamienia z misternie wykutym ornamentem. Patrzę na to z pewnym sceptycyzmem. Ale moi przygodni towarzysze gwałtownie wyjmują aparaty fotograficzne i szybko robią zdjęcia. To mnie przekonuje.

Takie niespodzianki znajdują się dzisiaj dlatego, że dla wcześniejszych ekip remontowych nie przedstawiało to żadnej wartości. A dla nas, ho, ho, to już skarby. W Krakowie, niemal na każdym kroku jest ich pełno.

Takie znaleziska tylko na początku są niepozorne. Później, po zabiegach konserwatorskich, jaśnieją niezaprzeczalnym blaskiem dzieł sztuki.

Wchodzimy w głąb podwórka.

— *Mało kto tu zagląda* — mówi inż. J. Fąfara. — *Wycieczki zwracają uwagę jedynie na frontony. I robią błąd. Bo właśnie oficyny okazują się ciekawsze od budynków frontowych. Rzecz jasna, nie w takim stanie, jak teraz.*

Rzeczywiście. W głowie się kręci, gdy patrzę na stan tych oficyn. Jak na dłoni widać nawarstwiające się style, ślady różnych przeróbek, dobudówek, a wszystko to bardzo zniszczone. Nikt tego dotychczas nie doglądał. I w tym wszystkim jeszcze do niedawna mieszkali ludzie.

— *Po remoncie* — uspokaja mnie inż. Julian Fąfara — *będzie to wszystko wyglądało zupełnie inaczej.*

— I ludzie zechcą do tego wrócić?

— *Dawniej chętnie wracali ludzie starsi. Młodzi woleli zostać w blokach. Obecnie, chętnie wracają wszyscy. Wracają do komfortowych mieszkań, nie dających się wprost porównać ze stanem poprzednim. Do mieszkań położonych w centrum. Nie mają kłopotów z dojazdami. I dlatego słowo „rewaloryzacja" w tym przypadku jest nieodpowiednim słowem, gdyż my nie przywracamy wartości tych kamienic, ale je powiększamy o nowe, na przykład, instalacje, których one przedtem nie miały.*

— No, to należałoby się z tego cieszyć.

— *Nie bardzo* — powiada na to inż. Julian Fąfara.

— Dlaczego? Mnie się to wydaje bardzo proste. Powstają nowe mieszkania. To dobrze, mieszkań jest przecież mało. Są to dobre mieszkania. To też dobrze. Otrzymują je ludzie, którzy się będą z nich cieszyć. Wszystko w najlepszym porządku.

— *Niezupełnie. Bo, widzi pan, te remontowane kamieniczki leżą w centrum miasta. I miasto chciałoby, aby skoncentrować tu różne instytucje i rozlokować je właśnie w ładnych, wyremontowanych kamienicach.*

— A dawni mieszkańcy nie bardzo się na to godzą.

Inż. Fąfara ze smutkiem kiwa głową.

I w tym miejscu wypada nam cofnąć się w przeszłość, aby lepiej zrozumieć teraźniejszość.

Kraków, po uzyskaniu praw miejskich w 1257 roku, zaczął się budować według szachownicowego układu z centralnie położonym rynkiem, największym wówczas w Europie placem o wymiarach 200 x 200 metrów. Wokół niego rozlokowano elementy urbanistyczne ówczesnego miasta, tzw. curie, o wymiarach 84,4 x 84,4 m, będące po prostu blokami kamienic. Curie dzielono następnie na półcurie o kubaturze do 100 tys. m sześć. W obrębie Plant, a więc w sektorze „A", znajduje się 40 bloków zabytkowej zabudowy, przeznaczonych do rewaloryzacji, zamieszkałych przez około 12 tysięcy osób. Sektor „B", obejmujący teren dawnego miasta Kazimierza, obejmuje 36 bloków zamieszkałych przez około 25 tysięcy osób. Sektor „C", zawierający 34 bloki, zamieszkuje też 25 tysięcy osób. Przeciętny blok, stanowiący podstawową jednostkę zabudowy, obejmuje około 150 tys. m sześć. i jest zamieszkiwany przez 200—300 osób. Przyjmując, że przeciętna rodzina liczy trzy osoby, daje to około 100 mieszkań zastępczych, które trzeba dać ludziom na okres remontu. Te mieszkania trzeba najpierw mieć, a mieć — to znaczy wybudować. Problem wykwaterowywania mieszkańców na okres remontu należy do najpoważniejszych bolączek.

Wiele kamienic stanowi własność prywatną, z reguły podzieloną między wielu współwłaścicieli. Często ludzie ci od lat mieszkają za granicą. To ogromnie komplikuje sprawy formalno-prawne. W oparciu o istniejące przepisy, nie sposób wielu spraw prowadzić. Dlatego władze miejskie przygotowują nowe rozwiązania. Właściciel musi sprzedać państwu kamienicę i plac przed rozpoczęciem prac. Po ich ukończeniu w rachubę wchodzi jedynie nieodpłatne przekazanie. Szukanie właścicieli trwa nieraz bardzo długo. Z drugiej strony nie można czekać z rozpoczęciem prac w nieskończoność. I nie można też właścicielom odbierać szansy sprzedaży ich własności.

Nasza wędrówka po Krakowie trwa. Wchodzimy do coraz to nowych posesji, oglądamy interesujące znaleziska. Ulica Mikołajska 2. Na ścianie jednej z izb, pod tynkami, gotyckie malowidła sakralne z XV wieku. Mieściła się tu siedziba Bractwa Maryjnego. Malowidła są właśnie konserwowane, dokonuje się tzw. transefu, czyli przeniesienia malowidła na neutralne sztuczne podłoże, gdzie będzie już zabezpieczone przed zniszczeniem.

Ulica Floriańska 11. Oglądam przepiękny drewniany strop konstrukcji kasetowej, odkryty podczas prac pod zupełnie normalnym sufitem. Znalezisko jest zaskakujące, dodatkowo z tego powodu, że wewnątrz kasetonów są przepiękne rozety wykonane z... papier-mache. A dotychczas tę technikę uważano za znacznie, znacznie młodszą.

Rynek Główny 20/Bracka 2. Wchodzimy na obszerny dziedziniec z iście wawelskimi krużgankami. Wymienia się tutaj właśnie instalacje elektryczne.

— *O, właśnie* — ucieszył się inż. Julian Fąfara. — *Tu pan ma najlepszy przykład tego, czym jest wymiana instalacji.*

Przyznaję, że czegoś takiego nie spodziewałem się. U nas, w Łodzi, też się przecież coś podobnego robi, są ciągle jakieś awarie, rozkopuje się ziemię, wyjmuje się stare rury, zakłada nowe. Albo po prostu kopie się wzdłuż ulicy rowy i kładzie się w nich różne instalacje. Narzekamy na wykopki, bo to utrudnia nam życie, ale Łódź jest miastem młodym. W Krakowie zakłada się i zamienia instalacje na bardzo starym podłożu. W ziemi, na której przez setki lat żyło tysiące ludzi. Ludzie ci musieli załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne. W Krakowie do dziś są czynne stare szamba, a śladów dawnych comiemiara. Dawne i obecne doły chłonne osłabiają fundamenty. Już choćby z tego powodu nie można tu postawić takiej ilości węglowych kotłowni, jaka byłaby niezbędna. Ratuje się więc sytuację piecami gazowymi, sprowadzanymi z RFN. Jeden piec będzie obsługiwał 5 kamienic. Podłączenie domów do sieci cieplnej miasta z tych samych powodów jest niemożliwe. To samo z zainstalowaniem sieci pieców akumulacyjnych.

Pięknie prezentują się odnowione posesje, wiele z nich oddano instytucjom kulturalnym, stowarzyszeniom społecznym, instytucjom handlowym. W kilku mieszczą się sklepy. Na przykład w Rynku Głównym nr 6, pod przepięknym łukowym sklepieniem ulokowano sklep delikatesowy. Przy ulicy Mikołajskiej 2 mieści się dzielnicowy dom kultury: piękne drewniane schody prowadzą na krużganki dwupiętrowej kamienicy. Inną kamienicę zajmuje Związek Literatów Polskich. W kamienicy przy Floriańskiej 3 mieści się Izba Handlu Zagranicznego, zajmując klasycystyczne wnętrza ozdobione wielkimi, ciemnymi malowidłami, poprzedzielanymi pompejańskimi ornamentami. Krakowscy filateliści, po rewaloryzacji kamienicy przy ulicy Floriańskiej 11, uzyskali lokum, jakiego mogą im pozazdrościć koledzy w całym kraju. W piwnicach tej kamienicy mieści się minikawiarenka i tutaj też odbywają się giełdy filatelistyczne i numizmatyczne. Starannie dobrane, ciemne, drewniane meble dobrze harmonizują z kamiennymi ścianami i beczkowatym sklepieniem, oświetlonymi utrzymanymi w stylu kinkietami. Wyposażenie wnętrz odnowionych budynków nie należy już do prac rewaloryzacyjnych. Jest ono rzeczą trudną i jedni użytkownicy radzą sobie z tym lepiej, inni gorzej, psując nieraz efekt odnowienia. Prace rewaloryzacyjne wymagają jednak bardzo wielu specjalnie wykonanych elementów uzupełniających braki powstałe na przestrzeni wieków w rzeźbach zdobiących ściany, portalach, stropach, drzwiach itp. Wymagane są do tego specjalne materiały, jak tzw. historyczna cegła, dachówki o nie spotykanych dziś kształtach, blacha miedziana i cynowa. Do prac konserwatorskich sprowadza się z zagranicy, niestety w zbyt małych ilościach, przeciwwilgociowe płyny i pigmenty.

— *Prace konserwatorskie* — mówi inż. J. Fąfara — *wymagają ogromnego potencjału. Potrzebni są przede wszystkim rzemieślnicy. Ich brak odczuwamy najbardziej. Zresztą nie tylko. Brakuje fachowców od prac projektowych, w pracach konserwatorskich pomagają nam studenci krakowskiej ASP. Ogólnie, dysponujemy obecnie jedną trzecią załogi niezbędnej do prowadzenia akcji o takim zasięgu.*

Dodatkową trudnością jest fakt, że rewaloryzacja Krakowa dokonuje się na żywym organizmie miasta, gdzie toczy się normalne życie, gdzie dodatkowo przewija się 5 milionów turystów rocznie! A rewaloryzacja to nie tylko prace konserwatorskie, to również prace związane z rozbudową infrastruktury, przebudową nawierzchni ulic, wymianą sieci kanalizacyjnej, przebudową starych i budową nowych stacji transformatorowych, wyburzaniem bezwartościowych budynków i nadbudów z drugiej połowy XIX wieku. Trzeba też nie zapominać o niezbędnej ilości zieleni, stanowiącej przysłowiowe płuca miasta. Wszystkie te działania nie mogą doprowadzić do zatracenia tzw. genius loci, utraty klimatu domu, dzielnicy i całości starego Krakowa. Trzeba bardzo uważać, aby nie stworzyć martwego „preparatu konserwatorskiego", nie zrobić Krakowowi krzywdy, nie zmarnować społecznych pieniędzy, a koszty rewaloryzacji są bardzo wysokie. Przykładowo: według zbiorczego zestawienia kosztów, opracowanego dla bloku zabudowy, zamkniętego ulicami: Szpitalną, Pijarską, Franciszkańską, Św. Marka, koszt rewaloryzacji 1 m sześć. wynosi 3.180 zł. Przy przeciętnej kubaturze kamienicy około 5.000 m sześć., daje to sumę 16 milionów złotych.

Obecnie zaawansowanie prac w Krakowie pozwala stwierdzić, że wykonano dużo. Wliczając prace przed powołaniem Zarządu Rewaloryzacji, ocenia się, że około 40 proc. całego przedsięwzięcia jest poza nami. Na rewaloryzację oczekuje jednak jeszcze około 700 budynków. Na lata 1980—1985 przewidziano na rewaloryzację sumę 4,5 miliarda złotych. Jest to dużo więcej, niż „przerobiono" w latach 1975—80, w których koszt rewaloryzacji zamknął się kwotą 1,3 miliarda złotych. Ogrom pracy stoi jeszcze przed wielkim, trudnym do ilościowego określenia zespołem ludzi, złożonym z pracowników wyższych uczelni, biur projektów, pracowni konserwatorskich, Zakładu Sieci Cieplnej, Zakładu Energetycznego, MPK i wielu innych instytucji. Wiele pracy przed rzemieślnikami — artystami i wieloma innymi, o których nawet nie wiemy. Czasu niby na to wszystko dużo, orientacyjny termin, w którym ujrzymy stary Kraków w pełnej krasie, to rok 2000. Jest to dużo, licząc tych dwadzieścia lat, mało — jeśli pamięta się o wadze i wielkości zadania.

Ale dzięki temu ani mojej cioci, ani nikomu nie wyleci ściana w jego mieszkaniu.

ŚWIĄTEK CZY PIĄTEK

RYSZARD BINKOWSKI

Na kilka dni przed wolną sobotą prasa informuje mieszkańców miast, jak w wolny od pracy dzień funkcjonować będzie handel, komunikacja, poczta, gastronomia, gdzie i kiedy odbędą się przygotowane wcześniej imprezy sportowe, rozrywkowe, rekreacyjne. Wolna sobota jest ważną zdobyczą socjalną, dba się więc o to, aby ludzie pracy w pełni mogli z niej korzystać.

W gazetach nie ma żadnej informacji na temat wolnej soboty na wsi. Można zamknąć sklepy, zatrzymać maszyny w fabryce, pozamykać urzędy, ale nie można zatrzymać tej fabryki pod gołym niebem, jakim jest gospodarstwo chłopskie. Ziemia może wprawdzie obyć się bez czujnego oka rolnika, ale tylko w okresie względnego spokoju, na przykład zimą, bo wiosną i w czasie żniw już nie, natomiast zwierzętom zawsze trzeba dać jeść. I dlatego na wsi nie ma wolnej soboty, tak jak nie ma wczasów, urlopów, ani wolnych niedziel i świąt.

A właściwie są, dotyczą jednak wyłącznie gospodarstw państwowych i spółdzielczych. Tam udaje się zorganizować dyżury, podczas których, jeżeli oczywiście nie ma spiętrzenia prac polowych, kilku ludzi może zastąpić w pracy kilkudziesięciu. Chłop w gospodarstwie nie ma zastępstw i dlatego z pewnym żalem patrzy na świętujących pracowników spółdzielni produkcyjnych i pegeerów.

Ale na to w zasadzie nie ma rady, taki już los chłopa, taka cena niezależności i samodzielności. Rolnik dawno się z tym pogodził. Wprawdzie jego prywatny warsztat pracuje na zaspokojenie potrzeb całego społeczeństwa, ale to już inna sprawa. Rolnika denerwuje to, że inni świętując, utrudniają mu życie.

Jeszcze dwa lata temu zdarzało się dość często, że w odległych gminach starzy rolnicy przemierzali po dziesięć kilometrów do GS lub Urzędu Gminy, aby stwierdzić, że wszystko pozamykane, bo jest wolna sobota. Teraz taki rolnik jest już przezorniejszy: zanim ruszy do gminy, słucha radia, pyta sąsiadów albo sołtysa.

— *Nie da się jednak uniknąć skrajnych przypadków* — poinformował mnie znajomy ogrodnik. — *Bywa tak, że przez wolną sobotę w szklarniach mogą powstać poważne straty.*

— Może pan to uzasadnić?

— *Proszę bardzo! Na tydzień przed odbiorem wyznacza mi się termin wykupu węgla za kontraktowane warzywa. Okazuje się, że jest to właśnie wolna sobota. Przychodzę w czwartek, aby się upewnić, czy będę mógł w tę sobotę wziąć węgiel. Prezes GS oświadcza, że nie wie, czy to na pewno będzie wolna sobota, ponieważ decyzja nie zależy od niego. W piątek nic nie załatwię, bo dają węgiel tylko za kontraktowane tuczniki. A więc z biedą będę to mógł załatwić w poniedziałek. Jeżeli w czwartek mam opał na wyczerpaniu, to jeśli nie pożyczę, w niedzielę może mi się zmarnować produkcja w szklarniach.*

Ryszard Iwaśków, szef gminnej służby rolnej w Pabianicach, przekonuje mnie, że wcale nie jest tak źle.

— *Owszem, Urząd Gminny też ma wolne soboty, i w tym dniu chłop nic nie załatwi. Ale w soboty jest najmniej interesantów, bo rolnicy przychodzą do urzędu głównie w dni targowe. Ale w żniwa gmina pracuje.*

— A Gminna Spółdzielnia?

— *Dawno temu mogło się zdarzyć, że rolnik przyjeżdżał na punkt skupu ze zbożem i wracał z powrotem, bo była wolna sobota. Dzisiaj na tydzień przed terminem wojewoda ustala, że jest wolna sobota i prezes GS musi o tym wiedzieć. Biuro może być nieczynne, ale jest kierownik transportu, traktorzyści, robotnicy, ponieważ przychodzą transporty węgla, nawozów, wapna i trzeba rozładować wagony.*

Zapytałem Henryka Gajdę, instruktora do spraw gospodarstw specjalistycznych, czy w swojej pracy nie spotkał się ze skargami rolników na trudności związane z wolną sobotą.

— *Nie, nigdy się z czymś takim nie spotkałem. I, szczerze mówiąc, nie widzę w tym problemu. Mieliśmy ostatnio Dzień Zwycięstwa. W kalendarzu nie zaznaczono, iż jest to dzień wolny od pracy. Dlatego też GS pracowała, czynny był punkt skupu. Rolnicy w soboty rzadko przychodzą do GS lub Urzędu Gminy, bo instytucje te pracują tylko do trzynastej. A poza tym jest tak, proszę pana, że rolnicy świętują w każde święto kościelne, podczas gdy w mieście wszyscy pracują.*

— Świętują, jeśli nie nagli ich czas.

— *To prawda. Przy sianokosach, w żniwa, pracują w polu także w niedzielę. Sam widziałem, jak odświętnie ubrani chłopi, prosto z procesji w Boże Ciało, jechali na pole, aby zebrać suche siano, bo zbliżała się burza.*

— Pan się orientuje, jak jest w wolną sobotę na wsi ze sklepami? Albo jak pracuje służba zdrowia?

— *W gminie Pabianice chyba nie ma z tym problemu. Do dwunastej w mieście dyżuruje cała sieć sklepów. Są też dyżury lekarskie, pracuje pogotowie, dyżurują wyznaczone apteki. Ze wsi zawsze można dojechać i załatwić, co trzeba.*

No tak, ale gmina Pabianice jest nietypowa, otacza pierścieniem miasto, do którego z każdej wsi jest stosunkowo blisko. Ale co się dzieje w gminach położonych daleko od miast? Wiadomo mi skądinąd, że nie wszystkie sklepy wiejskie są czynne w wolną sobotę. A jeżeli są otwarte, to sklepowa odbiera sobie wolny dzień w poniedziałek. Wieś oduczona została od wypieku chleba we własnym zakresie i dlatego musi teraz jeść chleb czerstwy, bo w wypadku wolnych sobót zaopatruje się w pieczywo na trzy lub cztery dni. Zdarza się bowiem, że w wolną sobotę, mimo iż sklep wiejski jest czynny, chleba się nie dowozi.

Wiadomo mi także, że w wolną sobotę powinien dyżurować jeden lekarz medycyny. A jeśli w Ośrodku Zdrowia jest tylko jeden lekarz? Też człowiek, chce mieć swój wolny dzień, i wówczas ściąga się na wieś Ośrodek Zdrowia „na kółkach", czyli pogotowie ratunkowe.

Doszły mnie słuchy, że w niektórych gminach nieczynne są w wolne soboty apteki. Farmaceuta też człowiek, ale przecież apteka jest w gminie tylko jedna, toteż po niezbędne leki, które są potrzebne natychmiast, chłop musi jechać do dalekiego miasta i szukać dyżurującej apteki. Zaznaczam, iż takich sytuacji nie należy generalizować, ale faktem jest że tu i ówdzie zdarzają się.

Jeden z rolników powiedział mi następującą rzecz:

— *Jedynymi ludźmi, na których zawsze można liczyć, są lekarze weterynarii. Przybędą na każde wezwanie, także w święta Bożego Narodzenia lub Wielkanocy. Nie można tego powiedzieć o lekarzach z Ośrodka Zdrowia. Ale w tym jest pewna prawidłowość, związana z sposobem chłopskiego myślenia...*

— A co ma piernik do wiatraka?

— *Ma, proszę pana! Od pokoleń chłop uważał, że najważniejsze w gospodarstwie są zwierzęta. Jak padła krowa, było więcej zmartwienia, niż po śmierci starego dziadka...*

Wiadomo, że pracownicy Urzędu Gminy odbierają sobie wolne soboty dopiero po wykopkach, gdy ustanie nasilenie prac polowych. To samo powinno obowiązywać świadczące usługi dla rolnictwa Spółdzielnie Kółek Rolniczych. Czy tak jest, starał mi się wyjaśnić Daniel Klimek, starszy inspektor rolny. Klimek pracuje w rolnictwie trzydzieści lat, ma więc spore rozeznanie. Uważa, że instruktor powinien być gospodarzem w terenie i odpowiadać za podejmowane decyzje. Ale instruktorowi się nie dowierza. Żeby rolnik mógł otrzymać „Provit", mieszankę dla prosiąt, zlecenie musi podpisać kierownik służby rolnej, któremu instruktor przedstawia ilość prosiąt w gospodarstwie, bo kierownik nie będzie przecież jeździł do każdego rolnika. Natomiast rolnik może nie zastać w urzędzie kierownika, bez jego podpisu paszy nie dostanie i wraca do domu. Daniel Klimek jest zdania, że nie wolne soboty utrudniają życie na wsi, ale papierkomania. Te wszystkie spisy rolne, upomnienia po przeglądzie pól. Jak w ubiegłym roku zebrano po 16 q żyta z hektara, rolnicy nie mogli wywiązać się z kontraktacji. Z każdym trzeba było przeprowadzić rozmowę i spisywać protokół.

— *Co się zaś tyczy SKR* — ciągnie Klimek — *to ta już w styczniu zbiera zamówienia na usługi. W marcu ostrzega, że na kosiarki rotacyjne nie ma co liczyć, bo brakuje części. Jak na łące będą kamienie i kretowiska, usługi się nie wykona. I słusznie!*

— W wolną sobotę czynne są punkty SKR?

— *Oczywiście! Biuro zamknięte, świętują ci z transportu, ale kierownik musi być. I traktorzyści, którzy wykonują, na przykład, opryski. Przy obecnym spiętrzeniu prac wiosennych sadzarki do ziemniaków pracują w sobotę i niedzielę. Zdarza się jednak, że dyrektor zarządzi wolną sobotę i akurat wypadnie ładna pogoda. Rolnicy przychodzą z prośbą o usługę i klną.*

— A co ma robić rolnik, gdy mu w wolną sobotę nawali maszyna?

— *Maszyna będzie stać. Bo SKR w zasadzie nie wykonuje napraw. A na POM nie ma co liczyć. Mimo telefonów, monitów, awantur w POM ciągnik odstoi swoje dwa tygodnie.*

— Panie Klimek, a taka sprawa. Rolnik jedzie piętnaście kilometrów po paliwo, dostaje tylko jeden kanister, wraca i zostaje mu paliwa na dwie godziny pracy.

— *Nie wiem, czy jest aż tak źle. Wiem natomiast, że przy wydawaniu paliwa najpierw obsługuje się traktorzystów z placówek uspołecznionych, a chłop czeka. Ale dobremu specjaliście nigdy nie zabraknie paliwa, nawet z wolną sobotę.*

— Ja myślę! Przyjeżdża na wieś traktorzysta z SKR, spuści trochę paliwa do chłopskiego kanistra i z głowy.

— *Ja tego nie powiedziałem. Ale nie twierdzę, że takie operacje są niemożliwe. Gdyby rolnik otrzymywał pod dostatkiem paliwa, nie byłoby złodziejstwa.*

Nie stać nas jeszcze na to, aby mieć co tydzień wolną sobotę. Będziemy jednak dążyć do tego, żeby pięciodniowy tydzień pracy stał się powszechny. Zasługują na to ciężko pracujące miliony ludzi w kraju. Co by jednak nie uczyniono, wieś nigdy nie będzie mieć wolnych sobót. Chodzi więc o to, aby pracująca na okrągło wieś nie napotykała w tym dniu żadnych utrudnień; żeby w tym dniu wszystkie instytucje pracujące na rzecz rolnictwa mogły służyć wsi niezbędną pomocą, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Myślę, że dzięki właściwej organizacji pracy i zaangażowaniu władz terenowych sprawa jest do załatwienia. I musi być, ponieważ produkcja żywności odbywa się w cyklu okrągłym. Tutaj za postojowe się nie płaci.

Foto: R. Łucyszyn

MECHANIZM KRADZIEŻY BYŁ PROSTY...

Sprawa ta, na wskroś kryminalna, nie miałaby dla nas większego znaczenia, gdyby nie jej aspekt społeczny. Kradzieże nie są niczym nowym, a nadużycia dokonywane przez pracowników wobec pracodawców zdarzają się dość często. Jednakże sprawa, o której poniżej, to nie tylko opowieść o nieuczciwości, to także rzecz o braku kontroli, o beztroskim stosunku ludzi odpowiedzialnych za działalność powierzonego im przedsiębiorstwa.

Aktualnie trwa dochodzenie w sprawie nadużyć popełnionych przez kierowców taksówek bagażowych zatrudnionych w **Przedsiębiorstwie Transportu Gospodarki Miejskiej w Łodzi** na szkodę co najmniej 16 przedsiębiorstw z terenu Łodzi (m.in. **Wytwórni Filmów Fabularnych, ŁZR „Fonica", Zakładów Ogrodniczych, Wytwórni Filmów Oświatowych, Centralnej Składnicy Harcerskiej**). Oskarżeniem objęto 23 kierowców, przywłaszczona przez nich kwota wynosi ok. 2 mln zł, a wszystko to stało się w ciągu dwóch lat.

Zarządzeniem nr 39/76 naczelnego dyrektora Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej m. Łodzi, wydanym 31 VIII. 1976 r. całość zadań wynikających z przewozu taksówkami osobowymi i bagażowymi przekazano Przedsiębiorstwu Transportu Gospodarki Miejskiej. Machina urzędnicza ruszyła. Dyrektor PTGM wydał od tego czasu 17 zarządzeń dotyczących działalności przedsiębiorstwa oraz dwa regulaminy określające pracę i płacę ludzi tam zatrudnionych. Początkowo obowiązywała kierowców taksówek bagażowych 18 procentowa prowizja od utargu rzeczywistego, potem, ze względu na wzrost cen paliwa, obniżono ją do 15,5 proc. Rozliczaniem kierowców zajmował się dział eksploatacji i rozliczeń PTGM, który sprawował także nadzór nad pracą starszego dyspozytora. Niestety, starszy dyspozytor Barbara L. dość swobodnie traktowała swoje obowiązki i nie prowadziła ani nadzoru, ani nie konfrontowała wpłacanych przez kierowców kwot z faktycznie przebytymi kilometrami wpisywanymi do kart drogowych, ani też nie dokonywała weryfikacji samych kart drogowych samochodów-taksówek. Powstał więc spory bałagan w obiegu dokumentów, a tym samym zrodziła się możliwość nadużyć. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu lat 1977—78 aż ponad 105 kierowców taksówek osobowych (na 110 jakimi dysponował wydział taksówkarzy PTGM) nie oddawało pieniędzy do kasy, narażając tym samym przedsiębiorstwo na straty sięgający ponad 2 mln zł.

Mechanizm kradzieży był właściwie prosty i nieskomplikowany, lecz w istniejącym niedowładzie organizacyjnym (brak właściwej kontroli, zła forma rozliczeń) mógł się powieść. Kierowcy, mający swobodę w wystawianiu rachunków na rzecz innych przedsiębiorstw, po prostu fałszowali oryginały, które trafiały do tzw. usługobiorcy. Otóż na oryginałach rachunków pisywali wyższe kwoty niż te, z jakich potem rozliczali się w PTGM, a które to kwoty nanosili na kopiach rachunków. Ponadto różnicę sumy jaką kierowca winien był wpłacić do kasy PTGM na podstawie wspomnianej wyżej kopii rachunku a stanem licznika, także chował do kieszeni. Oprócz tego, jeśli karta drogowa była wystawiona na 1 dzień, kierowca dokonywał własnoręcznie „poprawki" i „przedłużał jej ważność" nawet do dwóch tygodni. W ten sposób mógł on dowolnie dysponować pojazdem i nie musiał za te dni dokonywać dodatkowych rozliczeń. A już majstersztykiem było świadczenie usług różnym przedsiębiorstwom bez jakiejkolwiek karty drogowej upoważniającej do zarobkowania. Wówczas po prostu wystawiało się rachunek i otrzymaną kwotę zabierano dla siebie. Niektórzy poszli jeszcze dalej: jeżdżąc w dzień wystawiali rachunki obowiązujące z taryfy nocnej, czyli wyższe o 50 proc. Przedsiębiorstwa na to nie reagowały, nie sprawdzały, a zwyczajnie płaciły. Dopiero później, już w trakcie dochodzenia, wyszło, że różnice pomiędzy oryginałem rachunku w którymś z przedsiębiorstw a kopią złożoną w kasie PTGM wynosiły nawet 9 tys. zł jednorazowo. Nie bez winy w tym wszystkim są tzw. osoby prawne działające w imieniu różnych przedsiębiorstw uspołecznionych zamawiające usługi przewozowe. Jakże często właśnie oni podpowiadali kierowcom z PTGM jak mają „wystawiać" rachunki i jakie kwoty gdzie wpisywać.

Z zeznań 23 taksówkarzy objętych aktem oskarżenia wynika, że zarówno w PTGM, jak i we wszystkich oszukanych przedsiębiorstwach wiedziano o fałszowaniu rachunków. Jeśli dyspozytor Barbara L. w PTGM nie radziła sobie z panującym w jej dziale bałaganem, to przedsiębiorstwa wychodziły z założenia, że skoro nie wydatkują odpowiednich sum z przydzielonych im kwot na taksówki, wówczas w następnym roku budżetowym może ulec zmniejszeniu limit pieniędzy na transport. Tak więc obawa przed utratą limitów, kazała świadomie dokonywać nadużyć. Sądzę, że jest to niezwykle ważny aspekt całej tej sprawy i winien stać się sygnałem ostrzegawczym dla pozostałych przedsiębiorstw i instytucji zabiegających o utrzymanie przydzielonych im limitów pieniężnych, nie tylko zresztą na transport. (W związku z wyżej przedstawionymi nadużyciami jest aktualnie prowadzone odrębne śledztwo, którym objęto ponad 80 osób).

Ktoś mógłby powiedzieć, że oto w Łodzi, została wykryta kolejna afera gospodarcza, że kilku cwaniaków zagarnęło dla siebie parę milionów, że na pewno zapadną wyroki i to dość wysokie. Mnie natomiast niepokoi w tym wszystkim jedno: **brak odpowiedzialności u ludzi pełniących odpowiedzialne funkcje.** Jakoś nie mogę uwierzyć, by nikt w PTGM (oprócz Barbary L.) nie wiedział o przywłaszczanych przez kierowców pieniądzach, że nie istnieje tam kontrola wewnętrzna, że w ciągu dwóch lat nie zaglądała tam lustracja, że w dyrekcji na ślepo podpisywano roczne sprawozdania i bilanse, i że trzeba było ingerencji prokuratury, by fakty kradzieży wyszły na jaw. Nie jestem także przekonany, iż odpowiedzialni pracownicy przedsiębiorstw i instytucji korzystających z przewozów taksówkami PTGM „na piękne oczy" własnoręcznymi podpisami uwierzytelniali rachunki, wiedząc, że są sfałszowane, a częstokroć służyli nawet kierowcom radą jak należy te rachunki fałszować.

Dwa miliony złotych są sumą wielką, nawet jak dla takiego przedsiębiorstwa jakim jest PTGM. Trudno więc zgodzić się, że straty z tytułu nadużyć są sprawą tegoż przedsiębiorstwa. Myśle, że wcale tak nie jest: wszystko co kryje w sobie znamiona niegospodarności jest naszą wspólną, społeczną sprawą.

EUGENIUSZ IWANICKI

Z POLSKĄ KULTURĄ NA MORAWACH

(Korespondencja własna z CSRS)

TOMASZ SOLDENHOFF

W niektórych łódzkich księgarniach można jeszcze napotkać wydany niedawno w polsko-czeskiej kooprodukcji album „Wielkie Morawy". To monumentalne, przyciągające piękną szatą graficzną dzieło, znakomicie wprowadza w dzieje i sprawy tzw. Rzeszy Wielkomorawskiej — jednej z trzech wczesnofeudalnych potęg słowiańskich w IX wieku.

Wielkie Morawy zasłynęły jako miejsce misjonarskiej działalności Cyryla i Metodego i formowania się odrębnego języka słowiańskiego. Zapisały się także w historii wysokim poziomem kultury materialnej: rzemiosła i architektury.

Z okresu rozkwitu Państwa Wielkomorawskiego datują się też pierwsze kontakty polityczne ziem czeskich i morawskich z ziemiami polskimi. Część plemion polskich uznawała zwierzchność Wielkich Moraw. Najstarsze kroniki wspominają, że w latach 874—880 państwo Wiślan było obiektem ekspansji Wielkich Moraw. Z Moraw właśnie dotarły na jego tereny pierwsze powiewy chrześcijaństwa.

Ale dziś Morawy kojarzą się nam raczej z Brnem — miastem międzynarodowych targów i traktorów „Zetor" oraz ze... świetnym morawskim winem. Brno jest stolicą województwa południowomorawskiego — trzeciego rozmiarami i pierwszego pod względem liczby mieszkańców w CSRS Region ten stoi nie tylko bogatą historią i wieloma zabytkami Także — przemysłem, dostarczającym 13 proc. ogólnopaństwowej produkcji (drugie miejsce wśród województw), rolnictwem, sadami i winnicami, którym sprzyja cieplejszy klimat — na terenach sąsiadujących z Austrią, Jihomorawski Kraj to — w końcu — również enklawa bogatego folkloru przeżywającego obecnie swój renesans pod państwowym mecenatem Sztuka ludowa jest chlubą tutejszych działaczy kultury; wystarczy powiedzieć, że w jednym tylko województwie południowomorawskim istnieje dzisiaj więcej artystycznych zespołów ludowych niż w całych Czechach.

W takim właśnie — niezwykle urozmaiconym, bogatym — pejzażu odbywał się w dniach od 26 do 31 maja **Tydzień Kultury Polskiej,** zorganizowany przez **Polski Ośrodek Kultury i Informacji w Pradze** oraz władze kulturalne Brna. Była to pierwsza tak szeroko zakrojona prezentacja polskiej kultury w tym ważnym dla życia Czechosłowacji regionie.

Podczas uroczystej inauguracji imprezy — z udziałem przedstawicieli władz politycznych województwa i konsularnych CSRS, Polski i ZSRR — wielokrotnie odwoływano się do więzi łączących kulturę Czechosłowacji i Polski, więzi naturalnych, widocznych i podtrzymywanych, i tych także, które wymagają jeszcze dookreślenia, będąc na razie zbiorem szans. A perspektywa ich zrealizowania w Południowych Morawach właśnie zarysowuje się bardzo korzystnie — z uwagi na szczególną życzliwość i zainteresowanie dla polskiej kultury.

Zresztą, śladów polskich — dawniejszych i nowszych — tu nie brak. Ich obecność nasila się w początkach XIX wieku. Symbolem wspólnych narodowowyzwoleńczych tradycji jest na przykład Szpilberk — średniowieczny zamek przebudowany w XVII wieku na cytadelę i więzienie. W jego kazamatach trzymali Austriacy także wielu polskich patriotów — uczestników Powstania Krakowskiego w 1846 r.

Z Moraw — swej ziemi rodzinnej — wywędrował w 1628 roku na czele prześladowanych protestantów do Polski Jan Amos Komenski — Nauczyciel Narodu, jak się go tu określa, twórca nowoczesnej pedagogiki. W Brnie — w rodzinie ubogiego włókniarza — urodził się i stawiał pierwsze artystyczne kroki Franciszek Halas — jeden z najwybitniejszych czeskich poetów, autor m.in. kongenialnych przekładów „Dziadów", „Grażyny" i „Konrada Wallenroda" Mickiewicza, za które w 1948 roku otrzymał medal polskiego PEN-Klubu i Krzyż Komandorski OOP.

Naukowych, literackich i teatralnych więzi można również doszukać się i dzisiaj. Dla przykładu: powiększa się i coraz ambitniejsze zadania stawia przed sobą grupa polonistów z doc. J. Pelikanem na czele, skupiona wokół slawistycznego wydziału Uniwersytetu im. I.E. Purkiniego w Brnie, a Josef Hrabak należy do czołowych znawców literatury staropolskiej w ogóle, szczególnie zaś — jej związków z literaturą czeską.

Na inne ślady napotyka się przypadkowo, ale zawsze są one miłą niespodzianką. W Blansku — niedużym, 20-tysięcznym mieście położonym w Morawskim Krasie, znanym głównie z zakładów ČKD produkujących turbiny wodne i wspaniałych jaskiń w pobliżu, zakładowy Klub Związków Zawodowych (ROH) ČKD wydał bardzo starannie zbiór wierszy miłosnych dziewięciu polskich poetek pt. "Čekani na dopis" („Czekanie na list"). Autorem przekładów, wyboru i not jest O.F. Babler, a grafiki — J. Halla.

Od szeregu lat umowa i stała wymiana łączy Divadlo im. braci Mrsztików w Brnie z gdańskim Teatrem Wybrzeże. Bardzo żywe kontakty utrzymują ostatnio dwa młode teatry „otwarte" — Na Provazku z Brna i „77" z Łodzi. Czołowy czechosłowacki zespół teatralny gościliśmy w Łodzi już trzykrotnie, ostatnio wiosną br., a wizyta „Siódemek" i prezentacja wspólnego widowiska pt „Wiosna Ludów" odbiły się szerokim echem w Brnie na początku 1980 r.

Duże perspektywy dla wymiany kulturalnej otworzyła — podpisana w 1966 roku — umowa o współpracy między Brnem i Poznaniem. W ciągu następnych lat wymieniono delegacje, zespoły i solistów, a także wystawy muzealne, lecz stałą płaszczyznę współpracy potrafili — jak dotąd — stworzyć właściwie tylko dziennikarze z obu miast. Współpraca ciekawie procentuje w dziedzinie doświadczeń handlowych i targowych w nauce i w gospodarce komunalnej. Brneńscy działacze żałują jednak niewykorzystanych jeszcze możliwości w sferze kultury. W dobrze zapoczątkowanych przed laty formach wzajemnej prezentacji dorobku kulturalnego wytworzyła się ostatnio próżnia, która stwarza wrażenie — mylne przecież — jakoby obie kultury nie miały sobie dzisiaj wiele do zaprezentowania.

W tę lukę wszedł w 1980 roku — po raz pierwszy — znany ze swej dynamiczności Polski Ośrodek Kultury i Informacji w Pradze. Jego dyrektor — **Stanisław Celichowski** podkreśla, że w żadnym czeskim województwie nie napotkał jeszcze podczas składania propozycji zorganizowania Tygodnia Kultury Polskiej tak żywego odzewu... — Już we wstępnych rozmowach — stwierdza dyr Celichowski — musieliśmy podwajać naszą ofertę.

To zainteresowanie nie wynikło z — jak to czasem bywa — chęci windowania statystyk, lecz z rozpoznania przez działaczy autentycznych potrzeb. Świadczy o tym najlepiej frekwencja na imprezach Tygodnia. Ponad 66 widzów na przykład ściągnęło „Spotkanie z polską poezją" we wspomnianym już Blansku. Kilkudziesięcioosobowe grupy pracowników kultury (województwo znane jest z gęstej sieci domów kultury, bibliotek i ludowych szkół artystycznych) wysłuchały w Blansku, Prostějovie, w Muzeum Morawskim i na Uniwersytecie w Brnie odczytów S. Celichowskiego na temat polskiej kultury. Prelekcjom towarzyszyły liczne pytania i dyskusje.

Z uznaniem wyrażali się brneńscy melomani o polskich recitalach muzycznych w wykonaniu **J. Mechlińskiego, P. Kusiewicza i J. Stompla.** W czasie galowego koncertu inauguracyjnego polski pianista J. Stompel wykonał także przy akompaniamencie świetnej orkiestry Państwowej Filharmonii w Bernie Koncert f-moll Fr. Chopina.

Dużym wydarzeniem w tutejszym muzealnictwie stała się ekspozycja ponad 160 polskich medali historycznych z XVI—XVIII wieku, zorganizowana przez warszawskie Muzeum Narodowe i Muzeum Morawskie w Brnie. W sumie przygotowano z okazji morawskiego święta polskiej kultury 10 dużych wystaw, m.in. ekslibrisu **M. Korolkowej,** plakatu filmowego, teatralnego, plakatów Teatru Narodowego, polskiej grafiki współczesnej (na temat „Kobieta"), prac „Plastycy-dzieciom". Swój udział miała również i Łódź poprzez — trwającą tu jeszcze do 30 czerwca — ekspozycję satyrycznych rysunków **„Karuzeli"** (w lutym br. pokazywaną z dużym powodzeniem w Pradze).

Ogółem w czasie Tygodnia Kultury Polskiej w województwie południowomorawskim odbyło się ok. 50 różnego rodzaju imprez — w 11 miastach regionu. Same tylko przeglądy polskich filmów fabularnych zorganizowano — oprócz premierowego w kinie „Moskva" w Brnie — w 6 miastach. Czescy widzowie na co dzień nie mogą raczej narzekać na nadmiar polskich filmów. Tym razem mieli okazję zetknąć się ze sporym zestawem, w którym nie zabrakło pozycji głośnych, jak „Dzieje grzechu", „Sprawa Gorgonowej" czy „Barwy ochronne". Przygotowano także projekcje fabularnych filmów dla dzieci oraz filmów krótkometrażowych poświęconych Polsce. Nic więc dziwnego, że obserwatorzy określili nurt filmowy jako dominujący i „reprezentatywny dla sukcesów polskiej sztuki w ostatnich trzech dziesięcioleciach" (brneński dziennik „Rovnost").

Podczas pierwszej panoramy polskiej kultury w Jihomorawskim Kraju okazało się więc, że ma ona tu swoich sympatyków spragnionych wiedzy i rozmowy o niej. Impreza spotkała się z wysoką oceną zarówno poziomu programu, jak i strony organizacyjnej, w czym duża zasługa gospodarzy. Obie strony — czeska i polska wyraziły również gotowość dalszej współpracy. Już w październiku zatem odbędą się w gościnnych Południowych Morawach kolejne Dni Kultury Polskiej.

DZIEŁO MARCINA LUTRA

13 czerwca 1980 roku w Berlinie ukonstytuował się komitet organizacyjny dla uczczenia pamięci wielkiego reformatora niemieckiego, Martina Lutra, z okazji przypadającej 10. XI. 1983 r. 500 rocznicy jego urodzin. W skład komitetu weszły znane osobliwości, reprezentujące wszystkie dziedziny życia społecznego NRD. Przewodniczącym komitetu został Erich Honecker, który na posiedzeniu inauguracyjnym wygłosił obszerne przemówienie.

Martin Luter — powiedział — E. Honecker — był jednym z najwybitniejszych humanistów, który dążył do większej sprawiedliwości w świecie. Ogromne przemiany naszego czasu wymagają opowiedzenia się za tym, co było w historii postępowe, rozsądne i ludzkie, podkreślił mówca.

„Możemy powiedzieć, że nasza ojczyzna NRD przejęła tę szlachetną spuściznę. Nasze państwo robotników i chłopów urzeczywistnia ideały najlepszych synów narodu niemieckiego w duchu swej polityki działania dla dobra narodu. Do postępowych tradycji, które pielęgnujemy i kontynuujemy należy działalność tych wszystkich, którzy przyczynili się do postępu, do rozwoju kultury światowej, niezależnie od tego, w jakich znajdowali się układach społecznych i klasowych".

W tym sensie do tej spuścizny należy także dzieło Lutra, który formułując hasło, iż Kościół wymaga reformacji, wywołał jednocześnie wielki ruch, który służył postępowi społecznemu. Poszedł on dalej w swoim stanowisku — kontynuował Honecker — udzielał odpowiedzi na naglące problemy swego czasu. Najwyższy autorytet, cesarz, stanął przeciwko niemu. Kontynuowanie walki w tej sytuacji stało się dla Lutra narażaniem własnego życia. Niezłomność, jaką wykazał pozostała przez stulecia niezapomniana w krajach niemieckich.

Dokonując przekładu Biblii Luter dokonał *„największego osiągnięcia kulturalnego w naszej historii"*, powiedział Erich Honecker. W istocie bowiem w tych czasach żadna inna książka nie przyczyniła się w takim stopniu do ujednolicenia języka różnych państewek niemieckich. Reformacja i wojny chłopskie w Niemczech, które w swej jedności stanowią pierwszą rewolucję burżuazyjną w Niemczech, zajmują wybitne miejsce w naszej historii — podkreślił mówca. Ulegając różnorodnym wpływom antyfeudalnej walki narodów innych krajów, same wywarły poważny wpływ międzynarodowy, popierając trwałe przejście od feudalizmu do kapitalizmu. Wprawdzie akcje rewolucyjne poniosły fiasko, jednak wywarły głęboki ślad, który nie pozostał bez znaczenia dla dalszego rozwoju.

Tragedia Lutra polegała na tym, że popadł w sprzeczność między swą rolą inicjatora wielkiego ruchu rewolucyjnego a swoją niemożnością uznania jego prawidłowości społecznej. Honecker podkreślił, że poglądy społeczno-etyczne Lutra, które wskazują na głęboki związek z ludem i dziś jeszcze zasługują na wielki szacunek. Następnie zaś dodał:

„W owym czasie, kiedy obrabowywanie narodu, chłopów i rzemieślników przez lichwiarzy stało się palącym problemem socjalnym, Luter ostro piętnował te praktyki. W kazaniach, pismach i listach potępiał on lichwiarzy jako „największe nieszczęście". Ich praktyki przypominające niekiedy współczesne dążenia do osiągnięcia maksymalnych zysków kosztem mas określał jako straszliwe i godne ukarania. Tacy ludzie nie są warci zwać się ludźmi i mieszkać wśród ludzi. Luter wzywał do tego, by władze państwowe wywłaszczyły spółki lichwiarskie, które określał mianem „monopolia" i wypędziły je z kraju".

E. Honecker mówił następnie:

„Trwałość rodziny, opiekę nad starcami, chorymi i sierotami Luter traktował jako zadanie społeczne. Ta tradycja, wyrosła z obowiązku miłości bliźniego, przetrwała do dziś i jest wysoko ceniona w naszym państwie socjalistycznym.

Luter zachęcał do twórczej, sensownej działalności i to właśnie w naszym społeczeństwie socjalistycznym, które zniosło wyzysk człowieka przez człowieka, stało się istotną podstawą dla wspólnego działania chrześcijan i niechrześcijan w budowie socjalizmu.

Wspólne dążenie do zachowania wszystkiego, co postępowe w historii niemieckiej do obrony humanizmu, pokoju i postępu doprowadziło do tego, że w czasie ponurej nocy faszyzmu hitlerowskiego w antyfaszystowskim ruchu oporu wspólnie walczyli komuniści, socjaldemokraci, przedstawiciele kościołów katolickich i innych sił postępowych. Dzisiejsze wspomnienie o Lutrze obejmuje także męstwo, gotowość do ofiar i walkę tych wszystkich, którzy z racji swego wyznania walczyli przeciwko wojnie i barbarzyństwu faszystowskiemu, jak Dietrich Bonhoeffer, Paul Schneider, Martin Niemoeller, i wielu, wielu innych".

Żyjemy w czasach — powiedział następnie Honecker — w których bardziej niż kiedykolwiek chronić należy pokój, jako najwyższe dobro ludzkości. Na wszystkich kontyentach dokonują się głęboko sięgające przemiany. Widzimy i przeżywamy jak narody szukają nowych form egzystencji społecznej i stają się twórcami własnego ustroju socjalistycznego.

„Wspólne uczczenie osoby i dzieła Marcina Lutra w naszym państwie — kontynuował E. Honecker — *odzwierciedla współdziałanie wszystkich obywateli naszego kraju, niezależnie od ich światopoglądu i wyznania. Wszyscy pracują nad dalszym ukształtowaniem rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, leży to bowiem w interesie wszystkich i rezultaty tej pracy są z korzyścią dla wszystkich. Polityka prowadzona dla dobra narodu, jaką realizuje się w NRD, odpowiada jednocześnie zasadom chrześcijańskim. Dlatego też spotyka się ona z silnym poparciem współobywateli chrześcijan. Dotyczy to szczególnie wysiłków podejmowanych dla zapewnienia pokoju, dla rozwiązania zadania, które w obliczu bardziej skomplikowanej sytuacji światowej stało się jeszcze ważniejsze".*

W końcowej części swego przemówienia E. Honecker poinformował o różnorodnych przedsięwzięciach mających na celu uczczenie pamięci wielkiego reformatora. Komitet — powiedział — starać się będzie o to, *„aby uroczystości ku czci Lutra miały charakter manifestacji w duchu pokoju, humanizmu i porozumienia między narodami".*

EWA LAŚKIEWICZ

• • •

Za nami otworzy się niebo
wyjdziesz na krawędź dachu
skoczysz

Słyszę głosy bezustych szeptów
nastał okres nocy polarnej
w naszych wnętrzach
umeblowanych dialogiem niedomówień
Uśmiechem „Matki" Dürera
odziałeś twarz
Pijany zapachem jej ciała
żeglujesz pod sufitem
unosząc się na skrzydłach dłoni

Były Święta Choinki
zalany wywoływaczem kadrowałeś
negatyw cienia

Kupiłeś jej buty siedmiomilowe
by mogła wracać szlakiem
dróg asfaltowych

Za oknem wyrosły gołębniki
sąsiadki krzywe dzioby ostrzą
plotką.

• • •

Między sztucznym żalem a nutą szczerości
jest morze niewiary
podążam w łupinie mej łódki
ku któremuś z brzegów
czy wiatr przychylny
przygoni nikły żagiel w upatrzoną stronę
czy na mieliźnie słonego brzegu
martwego jeziora osiądę —
Chwilo przewrotna
zawieszona w wymiarze nie narodzonej —
decyzji
Zamknąć duszę siedmioma kluczami
tajemnej liczby
jak talizman chroniący
przed prawdą o sobie
Zamknąć oczy by usta skamieniały
w gęstwinie ciemności
— po drugiej stronie powiek.

• • •

Nie pij z zatrutej studni oczu
Smak piołunu zapadnie cierniem
będziesz biegł na spotkanie
wczoraj poprzez las przerażenia
Na niebie — twoim niebie
pogasną światła snów
Pewnego dnia zostaniesz
w całym jestestwie wyrzucony
poza nawias spojrzenia

• • •

U wrót moich stoisz Dobra
Pani Nadziejo Niepokalana
zwiątpieniem zachłyśnięciem
dymu kroplę wzruszenia upuszczam
W groteskę snu wpisano
horoskop znak Byka
podeptał trawę pastwisk niebieskich
Szlakiem kopyt pędzi
mój słoneczny rydwan
na spotkanie chwil spisanych
w księdze przeznaczenia
Zmęczona podróżą myśli
zalewam szklanką krwi byczej
— smak niepokoju
Z kuli wyłupanego oka wróżę
powrót na obłoki
Zacięta winda uciekam
wśród kondygnacji obaw
dalej od środka prawdy

FILM

CO DALEJ Z KRAKOWSKIM FESTIWALEM?

XVII Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych rozpoczął się trzeciego czerwca i przez kilka następnych dni, aż do samego końca, z niecierpliwością oczekiwaliśmy na film, który poruszyłby widownię, zachwycił ją bądź wzburzył. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Obejrzeliśmy na 13 pokazach konkursowych 95 filmów z 30 krajów i żaden z nich nie zasługiwał, na to, aby bez zastrzeżeń przyznać mu którąkolwiek z nagród. Werdykt jury, obradującego w tym roku pod przewodnictwem **Jerzego Kawalerowicza,** a w skład którego wchodził, m. in., znany reżyser szwedzki **Bo Widerberg,** w pewnym sensie potwierdził te odczucia. Ani jedna nagroda nie została bowiem przyznana jednogłośnie. Szkoda tylko, że jurorzy zdecydowali się na przyznanie wszystkich przewidzianych nagród, a szczególnie Grand Prix. Poziomowi festiwalu znacznie bardziej odpowiadałaby lista nagrodzonych filmów, która rozpoczynałaby się od Brązowych Smoków. Można mieć pretensje pod adresem komisji selekcyjnej festiwalu (przewodniczył jej **Piotr Sokołowski,** a w skład wchodzili, m. in., **Bolesław Michałek, Daniel Szczechura i Piotr Andrejew),** że dopuściła do pokazów konkursowych cały szereg żenujących wręcz filmów. Do kogo jednak mieć żal za brak w Krakowie filmów wybitnych?

Pojawia się tu sprawa dosyć dyskusyjna. Trudno mi bowiem zgodzić się z werdyktem jury FIPRESCI, który, stwierdzając słusznie, że żaden z filmów kwalifikujących się do otrzymania nagrody nie przekracza przeciętnego, średniego poziomu, konkluduje, że sytuacja ta jest przejawem kryzysu, jaki dotknął film krótkometrażowy na całym świecie. Argument przeciw tej diagnozie dostarczony został przez pokaz filmów nagrodzonych na ostatnim festiwalu filmów krótkometrażowych w Oberhausen (pokazy takie od dawna już i zawsze z korzyścią dla widzów organizowane są przy okazji krakowskiej imprezy). Można było obejrzeć na nim filmy, jakich daremnie oczekiwaliśmy w krakowskim konkursie.

Poziom tegorocznego MFFK bardziej niż o światowym kryzysie krótkiego metrażu mówi o upadku prestiżu krakowskiego przeglądu. Coraz częściej bowiem producenci i autorzy zawożą swoje najlepsze filmy wszędzie, tylko nie do podwawelskiego grodu. Krakowskiemu festiwalowi zagrażać zaczyna los Konfrontacji Filmowych, które od ambitnego przeglądu najwartościowszych dokonań światowej kinematografii staczają się do punktu, w którym całą tę imprezę oddać będzie można w ajencję Estradzie. A warto przecież zadbać o poziom i prestiż MFFK — jest to jedyny międzynarodowy festiwal filmowy organizowany w naszym kraju!

Być może korzystne byłoby oddzielne prezentowanie i nagradzanie filmów animowanych i dokumentalnych. A może zastosować inny podział? Na festiwalu w Tampere, np., filmy pokazywane są w czterech sekcjach: dokumentalne, animowane, dla dzieci oraz krótkie fabuły i filmy eksperymentalne. Może należałoby zmniejszyć limit długości, który, wynosząc obecnie 30 minut, dopuszcza do konkursu filmy nudne przez swoją rozwlekłość. Zwracał na to uwagę jugosłowiański reżyser **Milan Ljubić,** stwierdzając w wywiadzie udzielonym „Gazecie Festiwalowej", że „film krótki powinien być krótki". Przede wszystkim jednak należy sprawić, aby nie przedostawały się przez sito selekcyjne filmy, które na to nie zasługują oraz żeby nagrody otrzymywały filmy rzeczywiście najlepsze. Bez spełnienia tych, oczywistych przecież, wymagań, odrodzenie krakowskiego festiwalu nigdy nie nastąpi.

Na tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie Wielką Nagrodę — **Złotego Smoka** otrzymał francuski dokument **MAŁY PIOTR,** film zrealizowany przez **Emmanuela. Clot.** Tytułowy bohater konstruuje z blaszanych odpadków mechaniczny świat dziwnych urządzeń, postaci ludzi i zwierząt, świat będący wytworem jego spontanicznej, bezinteresownej działalności. Metalowa budowla, prezentowana w sukcesywnie następujących obrazach fragmentów, wyłącznie przy użyciu bliskich planów, jawi się jako emocjonalne, a więc prawdziwe, miejsce egzystencji bohatera filmu. Wrażenie to wzmaga przemyślna kompozycja Clot, sporo skorzystał na współpracy (jako asystent) z Marco Ferrarim czy Francois Truffot, ale mimo to w kuluarach zastanawiano się, czy tak wysoka ocena jego filmu nie jest rewanżem za przyjęcie polskich filmów na festiwalu w Cannes.

Dwie równorzędne nagrody specjalne — **Złote Smoki** — otrzymały filmy: bułgarski — **Kawalkada,** w reżyserii **Anri Kuljewa** oraz radziecki — **Dziewięć dni i całe życie,** zrealizowany przez **Jurija Żanina.** Pierwszy z nich — animowane obrazy galopującego konia, apoteoza wolności, bardziej zasłużył, zdaniem wielu obserwatorów, na Grand Prix, niż jej ostateczny zdobywca. Kuljew nie po raz pierwszy pokazywał swój film w Krakowie. W roku 1977 obejrzeliśmy bardzo ciekawą „Hipotezę", film, który otrzymał Nagrodę Główną w Oberhausen i Nagrodę Specjalną Jury w Ottawie, lecz w Krakowie nie zasłużył nawet na dyplom honorowy.

Film Jurija Żanina opowiada o losach słynnej lekarki rosyjskiej, specjalizującej się w zwalczaniu dżumy. Jest on montażem fragmentów archiwalnych filmów, autentycznych fotografii, listów i zapisków bohaterki oraz zainscenizowanych wydarzeń z jej życia. Poprawna kompozycja. Główną zaletą filmu jest jednak osobowość prezentowanej postaci, jej barwna i dramatyczna biografia, a zasługą realizatora — umożliwienie zaistnienia jej na ekranie.

Cztery Główne Nagrody — **Srebrne Smoki** otrzymały filmy: polski — **Urodziny,** reż. **Leszek Bober,** węgierski — **Animalia IV,** zrealizowany przez **Tibora Hernadiego,** jugosłowiański — **Mrówki,** reż. **Petar Lalović** oraz amerykański — **Królowie Flatbush, Christiana Blackwooda.**

Urodziny zrealizowane zostały podobną techniką montażową co **Dziewięć dni i całe życie,** z tym, że przewagę posiada tutaj statyczna fotografia. Film opowiada o losach **Olgi Kamińskiej,** kurierki AK przeprowadzającej przez granicę zbiegłych jeńców angielskich oraz początkach życia jej, urodzonego w hitlerowskim więzieniu, syna. Nawet w kontekście tegorocznego festiwalu film ten sklasyfikowany został stanowczo zbyt wysoko. Natomiast zupełnym już nieporozumieniem, skandalem wręcz, było przyznanie Srebrnego Smoka filmowi **Animalia IV.** Nie wiadomo, czym kierowali się jurorzy przyznając tę nagrodę. Może pomylili film Hernadiego z jakimś innym?

Mrówki, to dokumentalna opowieść o dwu mrowiskach, oddzielonych od siebie strumykiem, mrowiskach, których mieszkanki toczyły ze sobą wojnę, gdy tylko zachodził między nimi konflikt interesów. Próbowano dopatrywać się analogii między tą fabułą a dziejami ludzkimi, ale infantylizm takich skojarzeń obniża, i tak niewielką, wartość filmu.

Ostatni Srebrny Smok — **Królowie Flatbush,** to dokumentalny film o **Loew's Kings Theatre,** wielkim (2 tysiące miejsc), zbudowanym w latach dwudziestych, z barokowym przepychem (choć przyminającym raczej pałace łódzkich fabrykantów) kinie mieszczącym się przy nowojorskiej alei Flatbush. Film **Blackwooda** bazuje przede wszystkim na wywiadach przeprowadzonych z ludźmi związanymi z Loew's Kings w okresie jego największej sławy i upadku.

Brązowe Smoki otrzymały trzy filmy. Indyjski — **Kalbeliowie, — nomadowie Radżastanu,** zrealizowany przez **Valmika Thapara,** dostał nagrodę za fotografię. Z werdyktu tego można wnosić, że jurorzy preferowali „przezroczystość" narracji, fotografię podporządkowaną malowniczości prezentowanych wydarzeń. W ten sposób nie znalazły uznania: szwajcarski film **Więzienie** (reż. Christiane Kolla) czy francuski — **Chwilowe zatrzymanie** (Marie France Siegler), filmy, w których fotografia tworzyła nowe sensy ponad przedstawianym światem.

Niemiecki (NRD) film dokumentalny **Ślepy — głuchy — niemy,** zrealizowany przez **Karla Heinza Carpentiera, otrzymał** nagrodę za humanistyczne wartości tematu i scenariusza. Nic więcej dobrego o tym filmie powiedzieć się nie da.

Polski film **Juliana Antoniszа — Ostry film zaangażowany** otrzymał Brązowego Smoka za integrację obrazu i dźwięku. Animacja ta, zrealizowana „walizkową" techniką non camera, otrzymała kilka dni wcześniej Grand Prix na festiwalu krajowym.

Dyplomy honorowe otrzymały filmy: **Budowniczy miast,** jugosłowiański film **Živko Nikolića** opowiadający o życiu człowieka budującego nowoczesne osiedla, a mieszkającego w paskudnych slumsach, który zwalczał frustrację obijając żonę: węgierski dokument **Ketrec, reż. Peter Gardoș,** inscenizacja przeplatana relacją, a wspólnie dotyczące zabójstwa dokonanego na dziewczynie przez jej zadrosnego chłopaka oraz australijska mała fabuła — **Śmierć telewizji,** reż. **Mark Lewis,** film o przeplataniu się realnego życia i telewizyjnej fikcji.

Spośród kilku jeszcze nagrodzonych filmów warto wspomnieć o nagrodzonym Don Kichotem, nagrodą Międzynarodowej Federacji Klubów Filmowych, holenderskim filmie animowanym **Życie i śmierć,** reż. **Joost Roelofsz** oraz szwedzkim — **Sztuczka,** zrealizowanym przez **Matsa Davidsona,** który otrzymał nagrodę Gazety Festiwalowej za „bezsporne udowodnienie, iż nie ma prawdziwego kina bez sztuk i sztuczek". Ale w odczuciu większości obserwatorów, na tegorocznym festiwalu krakowskim było więcej filmów nagrodzonych niż filmów dobrych. MFFK wkracza w bardzo niebezpieczny okres.

RYSZARD W. KLUSZCZYŃSKI

W PAMIĘCI

PRZYPOMNIENIE WIECZORU Z POETĄ

Bardzo żałuję, że nie mogłem wziąć udziału w wieczorze jubileuszowym dedykowanym Marianowi Piechalowi. Piechal w bieżącym roku kończy siedemdziesiąt pięć lat. Wieczór został zapowiedziany na 8 czerwca w Miejskiej Bibliotece Publicznej im Ludwika Waryńskiego, a ja w tym czasie miałem już zaplanowany wyjazd nad morze.

Hasło Piechal jest bliskie mojemu sercu. Są pisarze, którzy na trwałe zagościli w naszych domach. Piechal należy do tych pisarzy. Nazywamy go poetą naszego domowego ogniska. O Piechalu próbowałem nieraz pisać. Były to wyznania czytelnika, któremu sprawiają radość wiersze poety. Na czym ta radość polega i jakie są to wiersze, jaka jest ich struktura, tego czytelnik najczęściej nie wie lub nie docieka. Powtarza cudze słowa i uznaje je za swoje.

Kilkanaście lat temu napisałem felieton pt. „Wieczór z poetą". Opowiedziałem w nim zdarzenie, jakie miało miejsce przed wojną w Warszawie w naszym (jak nazwałem) „wspólnym" pokoju. Wspólnym dlatego, że zajmowałem go z moim przyjacielem Janem Aleksandrem Królem, po wojnie redaktorem naczelnym tygodnika „Wieś". Z Królem chodziliśmy do gimnazjum Żeromskiego w Kielcach, siedzieliśmy w jednej ławce. Mieszkaliśmy na tym samym podwórku. Nasze matki również się przyjaźniły. Przyjacielem i opiekunem Króla w czasie studiów był krytyk Ludwik Fryde. Mija w tym roku trzydziesta ósma rocznica męczeńskiej śmierci Frydego, który zginął z rąk hitlerowców w Wilnie. O Frydem napisano, że „wyróżniał się z młodszego pokolenia szerokimi horyzontami intelektualnymi, wrażliwością na problematykę moralną i estetyczną, subtelnością analizy artystycznej. Był umysłowością oryginalną i niezależną". O przyjaźni Frydego do Króla świadczy fakt, że zapisał on swoje prawa autorskie Królowi. Inna rzecz, że Król po wojnie z tych praw nie skorzystał.

Fryde był codziennym gościem w naszym mieszkaniu. Ja pełniłem funkcję podczaszego w czasie tych spotkań. Niestety, rozdawałem tylko herbatę. A Fryde, popijając ów trunek, zagryzając kanapkami, prowokował nas do rozmów. Król często spierał się z Frydem, a że był zapalczywy, dyskusje te były żywe i interesujące.

Pamiętam, że jeden z wieczorów był poświęcony Marianowi Piechalowi, Fryde pracował wówczas (razem z Antonim Andrzejewskim) nad „Antologią współczesnej poezji polskiej". W „Antologii" znalazły się wiersze Mariana Piechala: „Czas", „Trzeci most" i fragmenty poematu „Garść popiołu". Fryde napisał potem we wstępie do „Antologii": „Z ducha i stylu Norwidowego wywodzi się (...) zwłaszcza twórczość Mariana Piechala. Jego „Elegie całopalne" i „Garść popiołu" stanowią najambitniejszą próbę przezwyciężenia lirycznego egotyzmu, próbę tworzenia poezji społecznej przez tworzenie społecznych mitów w artystycznej formie (...) „Garść popiołu" stanowi gloryfikację ludzi prostego stanu (jakże to przypomina wyznanie Czernika o ludziach prostych, którzy wzbudzają wzruszenie realne najpierw, a poetyckie później — przyp. mój T.P.), którzy w czasie pożaru zamku w Dzikowie rzucili się na ratunek zamkniętych w nim skarbów sztuki i znaleźli śmierć w płomieniach. Fakt ten urasta w oczach poety do miary symbolu: proletariat przejmuje tu na swe barki tradycję kulturalną i odpowiedzialność za kulturę".

O tych sprawach mówiliśmy w czasie tego wieczoru. Słuchając wierszy Piechala i wykładu Frydego, poznawałem poetę. Wydawało mi się, że Piechal jest wśród nas, pije razem z nami herbatę, i że słyszę jego głos. Nie przypuszczałem wówczas, że w wiele lat potem, po wojnie, będę pracował razem z poetą. Piechal był przez kilka kadencji prezesem łódzkiego oddziału ZLP. Był redaktorem naczelnym „Osnowy". Brałem udział zarówno w pracach zarządu jak i w redakcji „Osnowy".

Wzruszenie, które zatrzymałem z wieczoru spędzonego z Frydem i Królem, jest wciąż żywe. Obraz poety, opowiadającego w „Garści popiołu" o tych, „którzy tak pięknie i gorzko umarli za coś co lepsze od życia, mocniejsze nad śmierć", pozostał. Struna społeczna, o której mówił Fryde, jest żywa w poezji Piechala do dziś.

W ankiecie „Tygodnika Kulturalnego" ogłoszonej w 1975 roku na pytania: z jakim miejscem — regionem kraju, miastem, miejscowością, zbiorowością ludzką — czuje się pan szczególnie związany, jaki charakter ma ta więź i jakiego typu jest ten związek — czy związek pamięci, w jakiej mierze i w jakim sensie dzieło twórcy jest uwarunkowane przez jego biografię i jakiego rodzaju impulsy twórcze z tych źródeł wypływają, Piechal odpowiada: „Kraj rodzinny jako całość zawsze jest widziany poprzez pierwsze doznania naszej ściślejszej ojczyzny, miejsce naszego urodzenia i pierwszych lat dzieciństwa. Tam nasz wzrok i nasz słuch odebrał pierwsze kształty, barwy i dźwięki otaczającego nas świata, który w miarę rodzącej się świadomości i rozpoznania rozszerzał się poza granice naszej kolebki, domu i najbliższego otoczenia aż po najdalsze horyzonty rozbudzonej wyobraźni". („Biografia i jej ekspresja twórcza", Tyg. Kult. nr 8, 1975 r.). Piechal stwierdza, że zależność wyobraźni także poetyckiej, bo bez wyjątku każdej, od pierwszych w życiu doświadczeń artysty, to fakt bezsporny („czyż można sobie wyobrazić twórczość Mickiewicza bez Niemna i Litwy, Norwida bez Wisły i Warszawy, a Żeromskiego bez Nidy i Gór Świętokrzyskich?"). „Innymi słowy — powiada Piechal — poezja jest to ciągły powrót do tego, co było. Bo to, co było, to tego nie ma, chociaż jest".

Nazwałem Piechala poetą mojego domowego ogniska. Oprócz Piechala są obecni w moim domu inni poeci i pisarze, a wśród nich patron mojej szkoły Żeromski. W latach szkolnych uczyliśmy się na Żeromskim, przede wszystkim sztuki służby społecznej. Próbowaliśmy, redagując pismo szkolne „Młodzi idą", odwiedzając fabryki kieleckie, naśladować bohaterów Żeromskiego. Pisząc te słowa, myślę o naszych zamierzeniach i uniesieniach młodzieńczych, a nie o wynikach samej pracy. Trudno mi powiedzieć, w jakim stopniu nawiązywaliśmy w późniejszych latach do dawnych uniesień. Ale myślę, że między innymi dzięki Żeromskiemu, dzięki tamtym wzruszeniom, pytania, które sobie wtedy stawialiśmy, powracają dzisiaj, nabierają nowych znaczeń.

Uczę się dzisiaj także na Piechalu. Jakże chętnie przy różnych okazjach cytujemy poetę, który mówi o swoim stosunku do Łodzi: „Ja z twoich poetów tobie najwierniejszy" i jak chętnie przypominamy jego poemat „Ogień i popiół" czy tom „Miasto nadziei". Wyznaję, że podejmując własne próby prozatorskie, znajduję w wierszach Piechala wiele twórczych podpowiedzi. Chciałbym, abym mój stosunek do rodzinnej wsi mógł wyrazić w podobny sposób, jak Piechal do rodzinnej Łodzi.

TADEUSZ PAPIER

PLASTYKA

SYMBOLICZNE OBIEKTY MARIANA KĘPIŃSKIEGO

Są twórcy, którzy nie chcą włączać się w „bieg" sztuki współczesnej, bo niezgodne jest to z ich temperamentem artystycznym; innym nie odpowiadają „formy towarzyskie", jakie z tym „biegiem" się łączą. Istnieją wreszcie tacy, u których występują oba te powody. Jest tak w wypadku Mariana Kępińskiego. Twórczość jego, uprawiana od 10 lat podlega jakimś gruntownym zmianom, wstrząsom, gdyż nie przyjmuje bezpośrednich odniesień do aktualnej zmienności mód i tendencji. Za to rozwija się ona logicznie, wykorzystując coraz głębiej i wszechstronniej konsekwencje wyprowadzone z przyjętych w punkcie wyjścia przesłanek.

Od początku artysta opowiedział się za malarstwem przedstawiającym. Swój język artystyczny Kępiński kształtował stopniowo, świadomie wybierając do niego przedmioty proste, ale wywołujące nieoczekiwanie bogate skojarzenia symboliczne. Początkowo wchodziły w grę takie elementy, jak haki, sznury itp. Później, w cyklu „Itaka" pojawiły się kształty amorficzne, lub przypominające swym zarysem głowę ludzką, a może jakiś bliżej nie sprecyzowany zarys lądu. Najczęściej miejscem ich pojawienia się była pusta, nieskończona przestrzeń, podobna do tej, którą tworzyli niektórzy surrealiści (np. Magritte, Tanguy, czasem Ernst). Stanowiła ona miejsce akcji, warunek zaistnienia specyficznego świata.

Tym, co się rzuca w oczy w najnowszych cyklach obrazów Kępińskiego, takich jak „Monumenty", „Autostrady", „Ściany" i in., to większa konkretyzacja, sprecyzowanie używanych elementów. Zniknęły prawie zupełnie kształty amorficzne, niezdefiniowane w swym znaczeniu. Obecnie wszystkie obiekty malowane są z drobiazgową dokładnością, z dbałością o szczegół. Są one przez to bardziej iluzyjne, sugerują widzowi bliski związek z przedmiotami realnego świata.

Sugestia ta wzmocniona jest także rezygnacją z pustej, nieokreślonej przestrzeni. Była ona nastrojowa, poetycka, ale odrealniała sytuacje pokazywane w obrazach. Obecnie na jej miejscu mamy do czynienia z precyzyjnie przedstawianymi fragmentami naszego otoczenia: autostradami, rozległymi łąkami porośniętymi bujną trawą, lub syntetycznie ujętymi budowlami.

Pojawiają się też nowe chwyty. Związane są ze sposobem pokazania poszczególnych obiektów. Wykorzystuje tu Kępiński środki fotograficzno-filmowe, polegające na różnych możliwościach kadrowania tego samego motywu. Wyrazistym tego przykładem są wchodzące w skład cyklu „Monumenty" obrazy: „Powiększenie", „Zbliżenie" i „Oddalenie". Przedmiot przedstawiony w „Oddaleniu" w całości, w pozostałych obrazach rośnie, wypełniając całą płaszczyznę powiększonymi zbliżeniami fragmentów. Zmienia to całkowicie nie tylko kompozycję, ale tworzy całkiem odmienną sytuację wyrazową.

Kształtowanie języka artystycznego ma u Kępińskiego charakter konsekwentnego rozwoju, przebiega na zasadzie wzbogacania nie tyle zasobu motywów, co uwzględniania coraz nowych ich możliwości znaczeniowych. Te nowe znaczenia nie niwelują dawnych, lecz nakładają się na nie, pogłębiając i wzbogacając sens prac Kępińskiego.

Od początku zespoły znaczeń ewokowane przez obrazy Kępińskiego dotyczyły spraw podstawowych, archetypicznych: narodzin, śmierci, uwięzienia, męczeństwa, wolności. Od wieków ludzie próbowali je rozwiązać, lub przynajmniej nauczyć się neutralizować lęk, który się z nim wiąże. Wszystkie te dążenia objąć mogły tylko płytką warstwę zewnętrznej konceptualizacji zagadnień, nie zmieniając odwiecznych wzorców zachowania się, reagowania. Obrazy Kępińskiego w głęboki sposób ujmują tę sprzeczność między zewnętrznymi przejawami, a głębokim ich źródłem. Dotyczy to zwłaszcza prac z ostatnich lat.

Jak już wcześniej podkreślałem, występują w nich liczne atrybuty nowoczesności, np. autostrady organizujące pejzaż, racjonalizujące go. Ale czy całkowicie? Są mury, lub całe budynki z żelazobetonu, logicznie ustawione. Stają się one jednak bądź więzieniem, bądź labiryntem. Zwłaszcza, że często spina je, opasuje czerwona linia, wieloznaczny symbol występujący w twórczości Kępińskiego od początku. Często w ostatnich obrazach Kępińskiego pewne przedmioty przemysłowe, noszące wyraźne cechy ludzkiej ręki, ludzkiej myśli organizującej materię autonomizują się, uniezależniającą od pierwotnej funkcji, z myślą o której były tworzone. „Wyobcowują się" i stają czymś niezależnym, obcym wobec człowieka, zaskakującym go, może nawet groźnym.

Nie ma w tych obrazach przesadnej ekspresji. Nie ma chęci straszenia odbiorcy rekwizytami z filmów grozy, występujących często u przedstawicieli tzw. sztuki surrealno-metaforycznej, do której twórczość Kępińskiego czasem się zalicza. Artysta ten nie chce epatować odbiorców łatwymi efektami, chce skłonić ich do zastanowienia się i spojrzenia głębiej, przekonać, że w przedmiotach i faktach najprostszych odkryć można wymiar metafizyczny. Dostrzeżenie go wymaga ćwiczenia, koncentracji, kontemplacyjnego skupienia.

Foto: T. Karpiński

GRZEGORZ SZTABIŃSKI

PROZA

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Rozpisany przed paru laty konkurs z okazji trzydziestej rocznicy działalności Ludowej Spółdzielni Wydawniczej przyniósł bogaty plon. Powstała z niego odrębna seria. Wśród kilku debiutów znalazła się również książka łódzkiego dziennikarza — Jacka Indelaka (rocznik 1949, absolwent polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego).

O jej charakterze świadczy najlepiej (a nie częsty to wypadek!) sam tytuł, utrzymany trochę w stylu osiemnastowiecznej powieści angielskiej. Przeczytajmy go zatem w całości: „Romans w bardzo złym guście / opowieść w czterdziestu i siedmiu / scenach i obscenach / niemal filmowa / prawie prawdziwa / z pierwiastkami produkcyjnymi / o destruktywnej dialektyce / na której zaciążyło / samo życie" Tytuł ten, jakkolwiek stanowi niezłą reklamę całości, nie jest wcale reklamiarski, bo rzeczywiście znajduje pokrycie w tekście.

Treścią powieści Indelaka są wakacyjne przygody dwóch studentów łódzkiej polonistyki w podbełchatowskiej wsi, dokąd pojechali popracować i... pohasać. Poprzez ostro, a nawet drastycznie, zarysowaną warstwę obyczajową przebijają informacje „produkcyjne", to znaczy wiadomości o odkryciu złóż węgla brunatnego w okolicach Bełchatowa, o metodach budowy kopalni i elektrowni, o spodziewanych rezultatach ekonomicznych i społecznych przemianach wreszcie. Jako dziennikarz jest Indelak przede wszystkim reporterem i właśnie reporterski ogląd rzeczywistości jest w jego powieści bardzo wyraźny. To chyba dobrze, bo w ten sposób posiadamy gwarancję wiarygodności.

„Romans w bardzo złym guście" sprawia wrażenie utworu gatunkowo niejednolitego, noszącego cechy prozy łotrzykowskiej, przygodowej, obyczajowej i produkcyjnej, przeplatanej tak zwanymi „szumami komunikacyjnymi", czyli zwykłym pastiszem monologu wewnętrznego, o seksualnej najczęściej treści. Sprawność warsztatowa Indelaka tworzy wprawdzie z tego interesującą całość, lecz dynamiczny, nawiązujący do doświadczeń ekspresjonistów, dialog staje się zbyt jednolity niekiedy, a przez to nieco męczący. Pomimo ekspresji, pomimo aury swobody seksualnej i obyczajowej, powieść Indelaka zatrąca o monotonię z istotnej bardzo przyczyny — otóż wydaje się, iż autor zbyt zawierzył reporterskiemu doświadczeniu, a zapomniał o konieczności dramaturgicznej konstrukcji świata przedstawionego. Inaczej mówiąc: brakuje po prostu wyraźnie oznaczonych punktów kulminacyjnych w rozwoju zmierzającej przecież do dramatycznego zakończenia akcji. Zresztą można na tę książkę spojrzeć inaczej, biorąc za podstawę interpretacji fragment jednego z przerywników-szumów (komunikacyjnych): „allan kaprow którego często uważa się za twórcę happeningu wyraźnie sugerował jego związek z kulturą wyrzucania w której żyjemy według zwolenników happeningu da on się tylko raz i tylko jeden raz doskonale odegrać". Takie spojrzenie jednak prowokowałoby do eksponowania ujęć deformacyjnych, groteskowych (których w „Romansie" nie brakuje, lecz chyba jednak nie odgrywają one roli pierwszoplanowej). Są może raczej tylko sztafażem, spod którego wyzierają uczynki „męskiego odpowiednika francuskiej kobiety fatalnej" czyli jednego z dwójki bohaterów, który nie bardzo potrafi wybrnąć ze swych licznych przygód miłosnych, ponieważ ma w tym względzie zachwiane tradycyjne poczucie wartości. Nic zresztą dziwnego, skoro dziewczyny, z jakimi ma do czynienia, mienią się mieszaniną „matki-Polki, kurwy i dziewicy-bohater". Już bez zwyczajowych podziałów na miasto i wieś.

Emocjonalne zaangażowanie narratora w konstruowanie świata przedstawionego jest pozorne. Jego głównym dążeniem staje się po prostu p r o w o k a c j a — stylistyczna, literacka, obyczajowa. Coś zupełnie zwyczajnego chce pokazać jako splot wydarzeń nadzwyczajnych, codzienność jako wyjątkową przygodę, łatwe kontakty seksualne jako wielką miłość etc. Owa prowokacja okazuje się, niekiedy może nawet mimowolnie, k r z y w y m z w i e r c i a d ł e m, przez które oglądamy wycinek naszego współczesnego życia, naszego czyli polskiego.

W jednym z „szumów komunikacyjnych" czytamy: „piekarz z ermekellstrasse w bonn na specjalne zamówienie jednego z klientów wypiekł bułeczki w kształcie nagich kobiet z których kilka wystawił potem w witrynie swego sklepu i interes ruszył mimo protestów cechu piekarzy, sekspiekarz i jego wyroby robią zawrotną karierę.". Kto wie, czy to nie według tego wzorca konstruował narrator przygody Cezarego, w każdym razie wyglądają one na „wypiek" obliczony na popularność...

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

J. Indelak, Romans w bardzo złym guście, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1979, str. 237, nakład 10 000 + 330 egz., cena zł 30.—

SATYRA

PERYSKOP W ŚRODOWISKO

Przed paroma laty na ostatniej kolumnie „Odgłosów" ukazywał się poprzednik (zresztą jeden z wielu) dzisiejszego „Załącznika". Stałym współpracownikiem ówczesnego „Magazynku" (czy „Magazynka", bo jego winietę zdobił... magazynek pistoletu), był wtedy poznański pisarz Włodzimierz Scisłowski.

Minęło parę lat i oto wiele z drukowanych wówczas w „Odgłosach" utworów znajdujemy dziś w książeczce Scisłowskiego p.t. „Peryskop w środowisko". Nie od rzeczy więc będzie odnotować tę interesującą pozycję Wydawnictwa Poznańskiego.

Próba satyrycznej penetracji jednego kręgu tematycznego grozi zawsze autorowi popadnięciem w nudę i powielaniem motywów. Jedyną ucieczką od tego rodzaju klęski autorskiej jest możliwie szerokie potraktowanie tematu. Włodzimierz Scisłowski zastosował tę słuszną zasadę i jego zbiorek — mówiąc o ochronie środowiska — mówi chyba o wszystkich aspektach tematu.

A więc decybele i zatruwanie wód, bezmyślna turystyka (zjadliwe wiersze „Wycieczka", „Grzybobranie", „Na trasie") niszczone zabytki i zadeptywana zieleń...

I przede wszystkim — ludzie. Człowiek, sam będący elementem naturalnego środowiska, również sam to środowisko niszczy. Dlatego obiektem krytyki, żartu i kpiny Scisłowskiego jest właśnie człowiek. Bezmyślny, zapatrzony we własne partykularne interesy, nie umiejący spojrzeć szerzej.

Jest u Scisłowskiego zasygnalizowany problem nieustannego g a d a n i a na temat ochrony naturalnego środowiska człowieka — owych kursokonferencji i narad, z których dla samej istoty problemu niewiele wynika.

Przede wszystkim jest jednak książeczka Włodzimierza Scisłowskiego bardzo ciekawą — pełną zabawnych kalamburów — dowcipną próbą podjęcia tematu społecznie niezwykle istotnego. Mówi się i pisze na te tematy sporo — robi się mniej. Mógłby zatem ktoś powiedzieć, że tomik poznańskiego satyryka jest w końcu jeszcze jednym przykładem g a d a n i a o tych sprawach.

Rzeczywiście — to tylko „austriackie gadanie" — ale przynajmniej z wdziękiem, dowcipnie i — po prostu — inaczej A zresztą — cóż więcej może pisarz — nawiasem mówiąc z wykształcenia leśnik, a więc szczególnie wyczulony na ów problem — niż wystąpić s ł o w e m w obronie ciszy, zieleni, wody i powietrza.

Czy to satyryczne s ł o w o zmieni więcej niż słowa uchwał i publicystycznych raportów — to już inna sprawa. Fakt, że Włodzimierz Scisłowski, odpowiadając na autentyczne zamówienie społeczne, podjął temat, który od dawna jest tematem dnia.

JERZY WILMAŃSKI

„Mój peryskop w środowisko". Wyd. Poznańskie — 1979

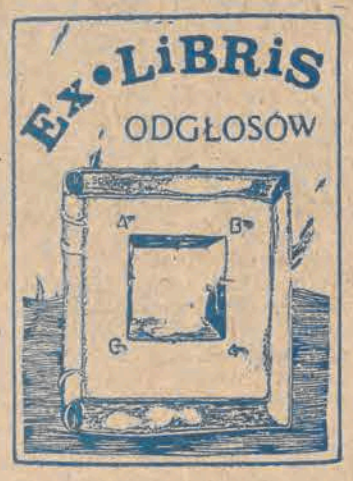

MAGDALENA W NOCY

Po raz pierwszy książka Tadeusza Papiera „Magdalena w nocy" ukazała się w 1962 roku, drugie wydanie w 1972, a w tym roku Wydawnictwo Łódzkie wydało ją po raz trzeci. Te wznowienia wskazują na określone wartości powieści, które interesują wciąż nowe, wchodzące w dorosłość roczniki. Powieść posiada ciekawą konstrukcję. Jest relacją młodziutkiej dziewczyny. Magda — główna bohaterka, zaprzyjaźniła się z dziewczyną, która wciąga ją w środowisko młodzieży z marginesu społecznego: drobnych złodziei i oszustów. Tak więc sensacyjna i miejscami pikantna treść przyciąga czytelnika i wpływa niewątpliwie na jej popularność. Ale czy tylko to jest atutem książki? Powieść, pomimo że dotyczy przeżyć i doświadczeń (niezbyt miłych) młodej dziewczyny i opisuje „twardych chłopców", adresowana jest przede wszystkim do dorosłych. Świat Magdy jest odbiciem przeżyć i obserwacji poczynionych w dzieciństwie. Dom, w którym brak miłości nie tylko do dzieci, pijaństwo ojca i ograniczenie matki, brak jakiegokolwiek zainteresowania dzieckiem, jego przeżyciami i marzeniami wpłynął między innymi na taki, a nie inny sposób na postępowanie córki w momencie, gdy czuje się na tyle dorosła, że zaczyna sama dokonywać wyboru. Brak jej ideału życia nie tylko rodzinnego, ale w ogóle, brak jej rozmów ze starszymi o odpowiedzialności za swoje postępowanie, kryteriów oceny, co jest dobre a co złe. Tak więc wracamy do punktu wyjścia, do oceny tych wartości książki, które zdobywają jej coraz nowych czytelników. Od momentu pierwszego jej wydania minęło blisko 20 lat. Wiele się zmieniło w obyczajowości naszego społeczeństwa, wiele problemów, wówczas ważnych, w tej chwili jest nieaktualnych, nie mających pokrycia w rzeczywistości, ale problemy właściwego wychowania dzieci, właściwych stosunków w rodzinie nie przestaną być aktualne.

Tadeusz Papier, „Magdalena w nocy", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, str. 151, cena 18 zł.

CÓRKA TEGO, CO TRAMWAJE JEGO

Kiedy kilka dni temu miałam okazję obejrzeć film Janusza Kidawy: „Grzeszny żywot Franciszka Buły", który na ekrany kin wejdzie jesienią, nieodparcie nasunęło mi się porównanie z książką Honoraty Chróścielewskiej „Córka tego, co tramwaje jego". W obydwu wypadkach mamy do czynienia z opisaniem folkloru robotniczego: u Kidawy — górniczego, śląskiego, u Chróścielewskiej — łódzkiego. I w obydwu — narratorami wydarzenia są dzieci. Zabieg ten jest dosyć popularny w literaturze (i jak się okazało — nie tylko w literaturze) i, stosowany, zawsze daje gwarantowany sukces. Wrażliwość dziecka, tak odmienna od wrażliwości ludzi dorosłych, ich inny zasób wiedzy o świecie i mniejsze doświadczenie sprawiają, że wydarzenia przez nie opowiadane nabierają większej wyrazistości i autentyczności. Chróścielewska, bohaterką swojej książki zrobiła małą dziewczynkę Koronę, której dalsze dzieje obserwować możemy w innych książkach autorki, tutaj Korona opowiada o swoim życiu w okresie międzywojennym. Mieszka w dzielnicy robotniczej, na Bałutach, stąd wiele obserwacji dotyczących życia robotników. Z opisu małej dziewczynki życie to wygląda na beztroskie i sielankowe, ale o jego trudach dowiadujemy się, jakby mimo woli, poprzez krótkie relacje z rozmów zasłyszanych od starszych.

Książka Chróścielewskiej interesująca jest właśnie z innego powodu, nie dlatego żeby chciała być dokumentem czasu, ale ponieważ jest kopalnią wiedzy o obyczajach rodzin robotniczych, o ich rozrywkach, przyśpiewkach (przytaczanych przez autorkę w całości lub we fragmentach), życiu rodzinnym i sąsiedzkim. O wzajemnej pomocy w każdej sytuacji. Niewiele jest książek tego typu, zwykle obraz życia robotników pokazany jest przez walkę. Tutaj tę walkę wyczuwa się jakby podskórnie, nie pomijając ani pomniejszając jej, na plan pierwszy wysuwa się to, co dzisiejszego czytelnika, dysponującego dużym zasobem wiedzy historycznej i dokumentalnej, interesuje może najbardziej.

Honorata Chróścielewska „Córka tego, co tramwaje jego". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, str. 233, cena 25 zł.

ELDORADO

Jestem nowym czytelnikiem powieści Zdzisława Wróbla „Eldorado". Pierwsze wydanie ominęło mnie. Kiedy wzięłam do ręki książkę, przeczytałam tytuł i obejrzałam okładkę, przekonana byłam, że oto w jakiś zadziwiający sposób polski autor napisał powieść o przygodach ludzi z Dzikiego Zachodu. Po pierwszych stronach zaczęłam się dziwić i zdziwienie moje rosło aż do końca. Bo oto, pod tym zapowiadającym przygodę tytułem, znalazłam zupełnie inną, o wiele ciekawszą i wartą poznania treść. Wydarzenia, które autor opisuje, są, jak sam mówi, autentyczne i dotyczą strajków i manifestacji robotniczych, jakie odbywały się masowo w 1936 roku w Toruniu. Osią konstrukcyjną książki jest pokazanie tych wydarzeń, od momentu ich przygotowań aż do tragicznego końca, poprzez działalność dwóch ludzi z przeciwstawnych sobie obozów: Pawła Wójcika — komunisty, wielokrotnie więzionego za udział w wystąpieniach antyrządowych, doświadczonego działacza partyjnego i rotmistrza Szczerbica, wojskowego, specjalisty od walki z „czerwoną zarazą". Tak więc mamy obraz wydarzeń pokazany z dwu stron. Daje to czytelnikowi pełną relację z tego, co się dzieje i wyraźny opis metod, stosowanych w owym czasie przez policję. Dzięki temu książka nabiera wyrazistości i pozbawiona jest męczącej dla czytelnika koturnowości i taniego dydaktyzmu. Wydarzenia, rzetelnie zrekonstruowane na podstawie dokumentów, i zrelacjonowane w sposób odpowiedzialny, czynią tę pozycję szczególnie cenną w poznaniu mniej znanych szerszemu gronu czytelników faktów z naszej międzywojennej historii. Szkoda tylko, że postacie są nieco schematyczne, że zabrakło ich szerszego rysunku psychologicznego, który wzbogaciłby jeszcze bardziej tę interesującą poznawczo książkę.

Zdzisław Wróbel „Eldorado", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, str. 315, cena 35 zł.

LEWYM OKIEM

Był taki czas w Łodzi mieście — dobrych trzydzieści lat temu — kiedy zauważono, że wiele balkonów i różnych secesyjnych ozdóbek, gzymsów, girland — grozi spadnięciem na głowy przechodniów. Wszystkie te domy służyły przecież całe dziesiątki lat bez żadnych remontów, aż się prosiły o jakieś zabiegi konserwatorskie. No i doczekały się. Właśnie trzydzieści lat temu.

Zabiegi polegały na tym, że przystawiano do staruszki kamienicy drabinę strażacką, wchodził na nią młody człowiek z młotem i strącał zwyczajnie, to, co groziło nieplanowanym oberwaniem. Miejsca po strąconych balkonach straszyły długo potem, jak bezzębne dziąsła. Ale pomysł był dobry i bardzo efektywny. Koszt prawie żaden, szybkość realizacji maksymalna, efekt stuprocentowy.

Jakoś tak przypomniała mi się ta sprawa, gdy przeczytałem w najnowszej prasie zapowiedź „dalszego usprawnienia komunikacji miejskiej" w naszej Łodzi. Wiecie, na czym polegać będzie to rewelacyjne usprawnienie? Na zwiększeniu ilości wozów, na polepszeniu torów, taboru, obsługi? Nie. Znacznie prościej: na likwidacji kilkudziesięciu przystanków. Czyż to nie kapitalny pomysł? Nie będzie przystanków, więc ludzie nie będą wsiadać i już tłok w wagonach i w autobusach zlikwidowany. Idealny stan osiągniemy oczywiście dopiero wówczas, kiedy zlikwiduje się jeszcze same autobusy. Ustaną wreszcie wszystkie skargi na niepunktualność, brud, tłok i inne plagi egipskie. Jak balkon się zarysował — to precz z balkonem. Jak statek zaczyna przeciekać — skaczcie do morza. To łatwiejsze, niż naprawa statku.

Dalsze usprawnienie

Czytamy oczywiście, że likwidacja przystanków skróci czas przejazdu, a więc leży w interesie pasażerów. Z tego powodu cena takiego skróconego przejazdu też będzie wyższa, jako że to przewóz ekspresowy, fajny, bez tłoku. Niestety, trochę nie tak. Szybciej dojadą wyłącznie ci, których miejsce wsiadania i cel dojazdu znajdą się przypadkowo akurat przy przystankach, tych rozrzedzonych, odległych od siebie o całe kilometry. Wszyscy inni — a więc ogromna większość — będą musieli przebywać znaczną część drogi piechotą: od przystanku i do przystanku. Piechotą będą szli wolniej niż najpowolniejszy autobus, nawet zatrzymujący się przy każdym skrzyżowaniu. Połowę drogi przejdą, za to za drugą połowę zapłacą drożej. Ot i cały społeczny zysk z zapowiedzianego usprawnienia komunikacji.

Muszę powiedzieć, że jest jedna zasadnicza sprawa, której ani rusz nie mogę zrozumieć. Pociągi też pracują coraz gorzej i nikt już ani się z tym nie kryje, ani nie wstydzi. Tłumaczenie jest jedno: przemysł tak nam się fantastycznie rozwinął, masa towarowa tak szalenie wzrosła, że na transport spadły zadania ileś tam razy większe niż dziesięć, i dwadzieścia i pięćdziesiąt lat temu. To prawda. Tylko że myśmy byli pewni — i tak nas uczono — że czym bardziej rozwinięty przemysł, tym sprawniejszy transport. To przecież przemysł ciężki produkuje szyny, wagony, zwrotnice i lokomotywy. Jak to zrozumieć: przemysł przeszkadza w pracy kolejarzom? Nie pomaga, tylko przeszkadza? To obtłuc ten balkon — pardon — przyhamować ten przemysł i rzecz się natychmiast usprawni...

Tymczasem zaś wsiadam do drugiego wagonu linii „12" i mój towarzysz pokazuje mi przednią szybę: jest cała oblepiona grubą warstwą wielodniowego błota, absolutnie nieprzejrzysta. Czy po zmniejszeniu liczby przystanków będziemy choć mieli domyte szyby? I nie poobrywane uchwyty wiszące smętnie wewnątrz wozu? I otwierające się bez oporów i bez przeraźliwego pisku drzwi? I działające kasowniki biletowe? Ech, co tam marzyć...

ĆWIEK

TELEWIZJA

Studio Telewizji Młodych (jeszcze nie jestem w takim wieku, abym musiał się tłumaczyć z oglądania programów dla młodych) swoją ostatnią audycję poświęciło rozważaniom psycho-socjologicznym na temat trudności. A zatem jak je pokonywać i racjonalizować, jaką wobec nich stosować taktykę. Dyskusję ilustrował eksperyment polegający na tym, iż w jednym z ruchliwszych miejsc stolicy ustawiano niewysoką tablicę z napisem „trudności". Liczni przechodnie, przywykli do rozmaitych barierek, wyrw i wykopów, omijali owe „trudności", zupełnie nie zdając sobie sprawy, że oto uczestniczą w eksperymencie. Wówczas do akcji wkroczył reporter z mikrofonem. Pokazywał przechodniom stojącą tablicę i pytał jak oni pokonaliby tę trudność. Jeden z nich, ze zwinnością Jacka Wszoły, przeskoczył planszę i poszedł dalej. Jeszcze inny odpowiedział, że taką „trudność" to on by kopnął. — Proszę bardzo — zachęcił reporter. — Naprawdę mogę? — zapytał jeszcze ów zdecydowany na wszystko przechodzień i kopnął tablicę, aż posypały się z niej drzazgi. I już po trudnościach. Łatwe to i nieskomplikowane, ale za to jakie optymistyczne!

POKONYWANIE TRUDNOŚCI

Zwróciłem uwagę na tę audycję jeszcze z innego powodu. Otóż — jak przypuszczam — redaktorzy ze Studia Młodych zafascynowani poglądowymi lekcjami „Sondy" postanowili błysnąć także efektownym doświadczeniem. Bo rzeczywiście ino patrzeć, a „niezwykła trójka" autorów „Sondy" poleci w kosmos (ryzyko spotkania się tam z Wandą Konarzewską biorą zapewne pod uwagę). Jestem przekonany, że byliby oni w stanie nawet proch wymyślić, gdyby nie wymyślono go już wcześniej. Ostatnio, ci nieustraszeni, ubrani w azbestowe uniformy, wywoływali malownicze pożary (jak ten strażak, o którym kiedyś było głośno), aby potem je gasić przy pomocy wszelkich dostępnych współcześnie środków. Ciekawe to i pouczające. Choć po dniu straconym np. przy telefonie, który obecnie jest już wszystkim, tylko nie telefonem (gra, śpiewa, szczęka, bzyczy etc.), z trudnością przychodzi nam wierzyć, że te cuda cywilizacyjne „Sondy", to nie żaden science-fiction, a najprawdziwsza rzeczywistość.

Zaległości w popularyzowaniu literatury i jej twórców TvP odrabia jak może. Dopominałem się o Jerzego Krzysztonia rozciekawiony jego ostatnią powieścią i oto „Pegaz" spełnia moją prośbę (jak tu się nie cieszyć!). Powtórzono z „Ex librisu" wypowiedź Mencwela, który wprawdzie „Obłędu" jeszcze nie doczytał (prawie 1200 stron), ale powieść wysoko ocenił. Ten fragment dopełniono krótkim wywiadem z pisarzem. Wywiadem stereotypowym, którego wartość informacyjna była encyklopedycznie skromna. Pani redaktor nawet pół słowem nie wspomniała o „Obłędzie". Podejrzewam zatem, iż rozmowę nagrano kiedyś tam a teraz (dodając powtórkę z „Ex librisu" unowocześniono ją i felieton o pisarzu gotów. Miał rację jeden z krytyków czwartkowego magazynu, odpowiadając na pytanie, co to jest pegaz. Pegaz — mianowicie — jest to orzeł zrobiony w konia. Ma natomiast szczęście do Tv Jan Dobraczyński, który od pewnego czasu występuje w niej jako tzw. postać (tą rolą telewizja może obdarzyć każdego), a w ostatnią niedzielę zaprezentował się jako pisarz.

Blok „Tylko w niedzielę", znów wielce interesujący, gościł także Ninę Andrycz (Pamiętnik zza kulis sceny), Krzysztofa Zanussiego (program Iwony Łękawy i Jerzego Katarasińskiego „Jak bym to teraz zrobił"), Krzysztofa Pendereckiego (konferencja prasowa z okazji inauguracji dni muzyki tego kompozytora) i Witolda Rowickiego (Rozmowy o muzyce). Każdy z tych programów miał swoje bezsprzeczne zalety poznawcze i informacyjne oraz jedną wspólną wadę: wciąż te same nazwiska. Z wyjątkiem Niny Andrycz (popieramy jej apel do dyrektora Gawlika o rolę w Teatrze TvP) wszyscy, wyżej wymienieni, twórcy, przedstawiani bywali telewidzom ze wszelkich stron. I nie sądzę, iż wynika to, z założonej z góry hierarchii wartości jaka w TvP obowiązuje, albo z sympatii bądź antypatii redaktorów. Przyczyny tego stanu rzeczy są — jak przypuszczam — proste. Otóż zaprosiwszy do audycji np. Andrzeja Wajdę („Stop-klatka"), jej autor ma znaczenie ułatwione zadanie. Andrzej Wajda jako twórca i to, co powie do mikrofonu będzie interesujące bez względu na zabiegi realizacyjne. Taka audycja nie może się nie udać. Podobnie jak dyskusja z udziałem Zygmunta Kałużyńskiego.

Clou programu minionego tygodnia to oczywiście transmisje Studia Sport: najpierw trójmecz lekkoatletyczny, Memoriał Janusza Kusocińskiego, a potem i przede wszystkim finały Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej. Tomasz Hopfer i jego współpracownicy postępują jak przewidujący trenerzy: te liczne transmisje to trening przed Igrzyskami Olimpijskimi. Że kosztem pań domu? Trudno, taki już żywot żon sportowców i... kibiców.

Co u Jordachów? Ano Falconetti znów się wywinął i — należy się spodziewać — będzie jeszcze przez czas jakiś Rudiego prześladował, a może sprawiedliwość dosięgnie go wcześniej? Tak czy inaczej senior rodu pokona wszystkie trudności — to mogę dzisiaj obiecać.

GRZEGORZ GAZDA

SPORT

Gwałtownie rośnie forma lekkoatletów i jest to normalne, bowiem niedługo Olimpiada w Moskwie. Co rusz to któryś ze skoczków prosi o ustawienie poprzeczki na wysokości rekordu świata i zaraz ją strąca. Może to i dobrze, bo najwyższa forma powinna przyjść akurat na same boje olimpijskie. Zostawmy więc sprawy lekkiej atletyki do czasów Olimpiady. Teraz kibic interesuje się przede wszystkim tym, co dzieje się na stadionach we Włoszech. A tam uczta piłkarska.

Tylko, że ta uczta jakby rozczarowuje. Kibic ostrzył sobie apetyt na europejskie mistrzostwa, czekał, że wreszcie zobaczy piłkę nożną na najwyższym poziomie, że będzie miał ucztę, a kiedy uczta ta się rozpoczęła, okazało się, że poziom owszem wysoki, ale czegoś w tym piłkarskim menu brakuje.

Po dwóch kolejkach spotkań w obu walczących grupach wyróżniły się dwa style gry. Włosi, Hiszpanie i Grecy prezentują styl bardziej żywiołowy, aktorski niemal, popisują się wielką szybkością, wytrzymałością i ogromną ambicją. Piłkarze z RFN, Holendrzy, Belgowie i piłkarze CSRS reprezentują styl odmienny, bardziej spokojny, wyrozumowany, przypominający bardziej grę w szachy niż w piłkę nożną. Najbardziej rozczarowali jednak Holendrzy i Anglicy. Ci pierwsi ledwo poradzili sobie z Grekami, ci drudzy nie umieli grać z Belgami i z Włochami.

Można powiedzieć, że już się rysuje czołówka mistrzowskich rozgrywek: RFN, Włosi i chyba piłkarze CSRS i Belgowie. Z impetem startujący Hiszpanie jakby się trochę zmęczyli, czy do końca?

ROZCZAROWANIA

Oglądam te piłkarskie zmagania i ciągle czuję niedosyt. Poziom gry jest wysoki. To nie ulega wątpliwości. Wyszkolenie znakomite. Podania celne. Kombinacje taktyczne różnorodne; proste, skomplikowane, co tylko kto chce. Belgowie przez trzy czwarte spotkania zastawiali na Anglików pułapki, zostawiając ich na spalonym i angielscy piłkarze nie mogli dać sobie z tym rady. Piłkarze z RFN długo nie mogli sforsować spokojnie grającej obrony drużyny CSRS. Holenderski atak rozbiła żywiołowość Greków, ale zagrało też ich dobre przygotowanie techniczne. Jest na co popatrzeć. A jednak kibic trochę wybrzydza. Dlaczego?

Czy tylko dlatego jesteśmy niezadowoleni, że nie padają gole? W meczu RFN — Holandia padło ich aż 5, co, jak na finałowe eliminacje, jest dużo. O co więc chodzi? Chodzi chyba o to, że punktowane rozgrywki odbierają trochę uroku grze. Teraz na przykład drużynie RFN wystarczy już tylko remis w meczu z Grecją, aby utrzymała pierwszą lokatę w grupie. Piłkarze RFN nie muszą się w tym meczu wysilać. Wystarczy, że będą się skutecznie bronili po zdobyciu jednej bramki. Miejmy nadzieje, że Grecy nie tak łatwo sprzedadzą swoją skórę, więc może jednak mecz będzie choć odrobinę atrakcyjny.

Jak do tej pory najciekawszym meczem było spotkanie Włochów z Hiszpanami, które zakończyło się remisem. Był to mecz atrakcyjny, widowiskowy. Ale remis urządzał obie drużyny, choć było to ryzykowne, jak się później przekonali Hiszpanie. Ale kiedy się gra, kiedy się strzela na bramkę, kiedy konto punktowe jest jeszcze otwarte, wtedy zawsze można się pocieszyć, że jeden punkt z remisu wyniesiony, to dużo więcej niż dwa punkty stracone. Siły więc zostawia się na ten mecz, którego już nie można będzie przegrać. Piłkarze RFN też swój pierwszy mecz z CSRS zagrali na półobrotach.

Mistrzostwa jeszcze trwają, będzie więc można skonfrontować pierwsze wrażenia i odczucia z dalszym rozwojem sytuacji. U nas natomiast zakończyły się rozrywki ligowe. Gratulacje dla Szombierek za mistrzostwo Polski, gratulacje dla RTS Widzew za ponownie zdobyte wicemistrzostwa. Trudno jednak przy tych gratulacjach dla mistrza nie wypomnieć mu ostatniego meczu z Legią w Warszawie, kiedy telewizja wyróżniła proporczykiem... sędziego, jako najbardziej interesującą postać na boisku. A grał mistrz Polski ze zdobywcą Pucharu Polski. Grali oczywiście o nic. Zdobyte lub stracone punkty nie miały już żadnego znaczenia. Więc grali na stojąco, żeby nie powiedzieć na siedzącą.

Jeśli jednak, po obejrzeniu meczów z włoskich stadionów, patrzy się na naszych piłkarzy niechętnie biegających po boisku, ociągających się, strzelających do bramki w taki sposób, aby na pewno nie trafić, to rozpacz serce ściska i kibic pyta siebie lub współtowarzysza: czy z takim poziomem możemy wygrać z Maltą?

BOGDA MADEJ

1/3 mini magazynek

ZE SPORTU

A jednak

A jednak nasi są obecni na stadionach we Włoszech w mistrzostwach Europy w piłce nożnej. Na każdym stadionie wielkimi literami wśród reklam wypisano nazwisko: ZANUSSI. Tak to już się dzieje, że kiedy zawodzą sportowcy, sukcesy zbierają artyści. Chwała więc Krzysztofowi Zanussiemu i jego filmom. A piłkarze niech się wstydzą/

Poradzili sobie

Policja włoska poradziła sobie jakoś z brytyjskimi kibicami, którzy srodze rozrabiali. Poradziła sobie przy pomocy pałek i gazów łzawiących. Około 300 kibiców wylądowało we włoskich więzieniach. Na piłkarski związek w Anglii UEFA nałożyła wysoką karę. I już podczas meczu Włochy — Anglia było spokojnie.

A może i wobec naszych chuliganów rozrabiających na stadionach zastosować podobne środki?

Pogubili się

Nadmiar wydarzeń sportowych zaskoczył jakby TvP. Redakcja sportowa pogubiła się trochę w natłoku tych wydarzeń. Relacje są pośpieszne, niedokładne, wiadomości spóźnione. Ze stadionów włoskich nie transmituje się wszystkich spotkań, co może jest i słuszne, ale należałoby przynajmniej szybko poinformować kibiców o wyniku takiego, nie transmitowanego meczu. Relacja z Memoriału J. Kusocińskiego też była pośpieszna, niedokładna, chaotyczna. Co będzie, kiedy przyjdzie relacjonować Olimpiadę?

K.I.Bic

NADCHODZI LATO

Deszcz może zacinać, wiatr łamać drzewa, śniegiem nawet może prószyć, ale kalendarz uparcie wskazuje, że nadchodzi lato. Dowodem na to są... festiwale. Już się rozpoczęły. Trudno je wszystkie spamiętać. Końcówkę festiwalu w Zielonej Górze pokazano w „Studio 8" w sobotę 14 czerwca 1980 roku w programie I Telewizji Polskiej.

Koncert ten nie zadowolił zielonogórskiej publiczności. Zbyt mało było piosenek, w takt których można poklaskać i pobujać się. I co to za festiwal? Organizatorom następnych zwracamy uwagę na ten istotny mankament i przestrzegamy, aby nie popełnili podobnego błędu. Jeszcze jest czas.

Zyg.

Z REMANENTU

Nie jest dobrze trzymać nadmierne zapasy, ale i nie jest dobrze nie mieć żadnych zapasów. Upłynnianie zapasów jest więc konieczne, a przy okazji może wyjść na jaw, jak kiedyś było się nieoszczędnym. Oto „Czystość", krytykowana kiedyś za rozrzutność w zużywaniu papieru, wycofała blankiety kwitów o wymiarze 21x28,5 cm, zamieniła je na mniejsze, a obecnie znów używa tych wielkich płacht papieru.

Remanent pochodzi z 1975 roku. Świadczy o tym „metryczka". Oto jej brzmienie: „Druk. Wąbrzeźno, 2167 5. VI. 75 10.000 bl. a 100 k.", co należy rozumieć, że istniejący i „upłynniany" zapas blankietów wydrukowano w czerwcu 1975 roku (akurat 5 rocznica, mały jubileusz!) w ilości 10 tysięcy bloków po 100 kartek każdy. W sumie zużyto 1 000 000 kartek papieru o formacie 21x28,5 cm.

Czytelnikom pozostawiam swobodę w wyobrażaniu sobie, co można byłoby z większym pożytkiem na tym wydrukować. Jeśli natomiast „Czystość" ktoś pochwali za „upłynnianie" remanentów, to przypominam skromnie, że przed 5 laty też nie mieliśmy nadmiaru papieru i że już wówczas było to... marnotrawstwo.

P.U. RYSTA

Zamiast recenzji

Nie mogę się oprzeć

Kiedy czytam niektóre nasze powieści kryminalne, nie mogę się oprzeć pokusie podadiustowania ich. Oto przykład z książki Romana Jaworowskiego „Trzy cięcia biczem":

„Z kieszeni brązowej welwetowej marynarki wyciągnął złożoną we czworo kartkę, na której w kilku różnych kolumnach wypisane były nazwiska lekarzy."

Zaproponowałabym autorowi taką wersję zdania:

„Z kieszeni wyciągnął kartkę, na której wypisane były nazwiska lekarzy."

Sens został ten sam, a ileż oszczędności papieru, bo takich „rozdętych" zdań jest więcej w tej książce:

„Stach puścił mimo uszu uwagę Bałuta, poprzestając na gniewnym chrząknięciu przypominającym westchnienie nosorożca."

„Dziewczyna przechyliła butelkę z napisem: „The best Old Scottish Whisky". Inżynier wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro. Zapalając papierosa poprawił aktówkę..." (Czy przypadkiem nie powinno być „Old Scotch Whisky"?)

I tak dalej i tak dalej.

Nie mogę się więc oprzeć podejrzeniom, że autorzy niektórych kryminałów jakby „podciągali" tekst różnymi opisami, aby tylko było jak najwięcej arkuszy wydawniczych. A czytelnik później musi to sobie sam skreślać. Co na to redaktorzy?

BEATA Z.

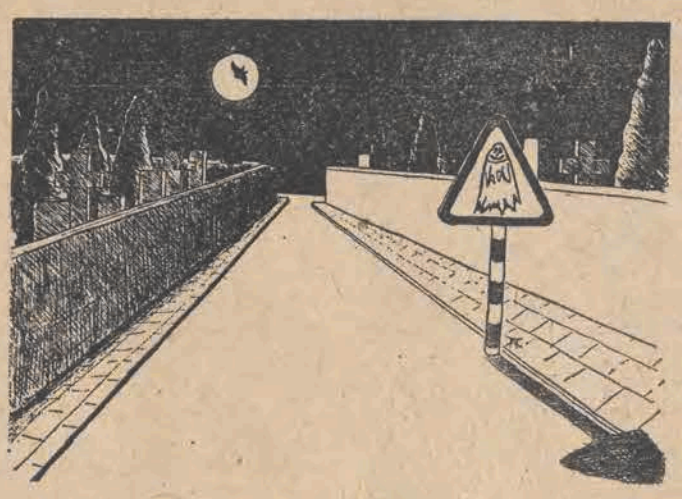

Rys. Andrzej Adamowicz

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44, sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1413. G-11.

Załącznik nr. 1/1905 .....

Zwykło się mówić: Rewolucja 1905 roku, a trwała ona przecież trzy lata — 1905, 1906, 1907. Były to lata krwawej walki. I wszędzie tam, gdzie walczył łódzki robotnik towarzyszyła mu pieśń. Kronikarze tamtej epoki, a byli wśród nich nie tylko naoczni świadkowie, uczestnicy, ale także ludzie, którzy spisywali relacje z zawodowego obowiązku, na tyle obiektywnie, na ile pozwalała im carska cenzura, wszyscy oni zgodnie zaświadczają, że pochodom, zgromadzeniom, zebraniom zawsze towarzyszyła piosenka.

Różne to były pieśni: rewolucyjne „Czerwony sztandar", „Warszawianka", „Na barykady", były to pieśni kościelne uznane przez carskich żandarmów za hym rewolucyjny, jak na przykład „Boże coś Polskę", śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła", „Z dymem pożarów". Przerabiano popularne wówczas pieśni, nadając im różny sens i znaczenie. Repliką na na przykład, „Czerwony sztandar" był „Biały sztandar" W. Gomulickiego, ale były też liczne przykłady adaptowania do rewolucyjnych potrzeb pieśni o ogólniejszym charakterze.

W rewolucyjnej agitacji posługiwano się fraszką, wierszem satyrycznym, pamfletem. Wszystkim, co mogło służyć mobilizacji mas.

Dziś na łamach załącznika prezentujemy skromny wybór wierszy i rysunków z tamtej epoki. Pochodzą one z książek: Stanisława Kalabińskiego Feliksa Tycha „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja", Eugeniusza Ajnenkiela „Czerwona lutnia", Władysława Lecha Karwackiego „Łódź w latach rewolucji 1905 — 1907" oraz „Rozwoju".

(I. w.)

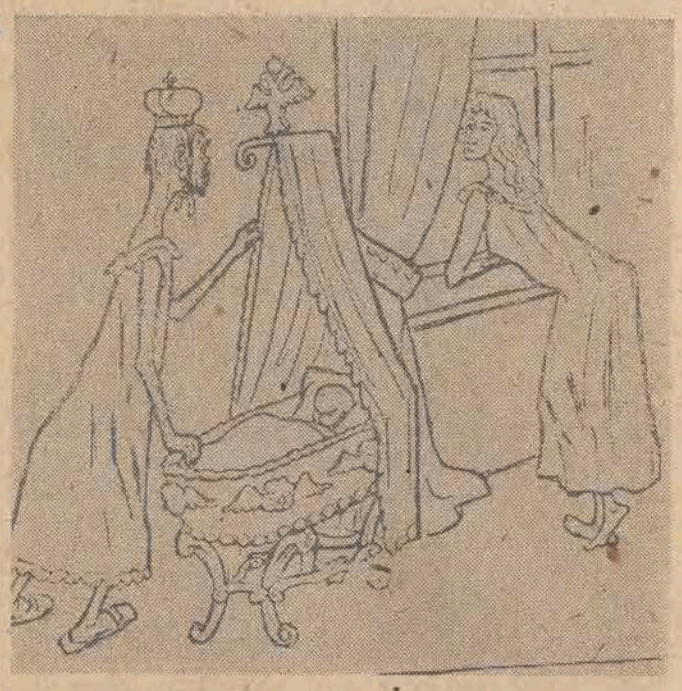

U kołyski carewicza:
— Spójrz, Mikołaju, tam na dole zabijają ludzi setkami.
— Tą pukaniną mogą mi jeszcze dziecko obudzić.

Rys. Th. Heine

Szczyt marzeń.
Rys. N. Nowodworski

FRASZKI

SZLACHCIC

Kto herbowe pergaminy
Kocha i im służy,
Ten się kocha, niech mi wierzy,
W swojej własnej skórze.

BURŻUA

Między hyclem i burżua
Różnica ii mała!
Tamten skórę z psów odziera,
Ten z ludzkiego ciała.

W ŁODZI NA DŁUGIEJ

Jest na Długiej kamienica,
Wszystkie okna zbrojne kratą,
A w dziedzińcu szubienica —
To mój „pałac" za caratu.

Mają możni swe pokoje,
Mają kupcy huk pieniędzy,
Lecz o złoto ja nie stoję,
Bom szczęśliwszy od nich więcej.

Dziś mnie stracą — lecz nie płaczę,
Nie złorzeczę srogiej doli,
Jam jest wolny — a bogacze
W swego złota tkwią niewoli.

1908

ZAPŁACIŁ

W Zgierzu w fabryce Kurtza, kiedy strajkowały zgierskie fabryki, przyszli robotnicy do znienawidzonego majstra i wzięli go na ręce. Miał on tego dnia akurat imieniny i sądził, że tak go właśnie fetują. Dał im więc 10 rubli na fundę, a oni wynieśli go za bramę i do rynsztoka wrzucili, tak jak robili z innymi majstrami w fabrykach Łodzi, Zgierza, Pabianic i innych miast, wszędzie tam, gdzie wybuchały strajki.

(Według „Rozwoju")

W pierwszą rocznicę „krwawej niedzieli".
Rosyjski rysunek współczesny

RADOMSKI BUDRYS

Stary „fijoł" trzech innych
Tęgich, głupich lecz zwinnych,
Przywołuje do siebie i rzecze:
Szykujcie się do drogi,
Odepnijcie ostrogi,
Podciągnijcie do góry swe miecze,

Bo musicie iść cicho,
Aby zgnębić to licho —
Socjalistów! niech zginą raz marnie!
Gdyż rozkaz przyszedł z góry,
By raz ich wziąć w pazury,
A jak można — pochwycić drukarnię!

Ty, Diakonow, lis stary,
Wykretom nie dasz wiary —
Więc idź szperać pomiędzy sprytniejszych;
Dużo złapiesz — ręczę
A ja ich tu pomęczę
Aż wydadzą i wszystko drobniejszych.

Ty, Bielińskij, chwat znany,
Śpiesz — warsztatów, gdzie ściany,
Tam „robocze" spiskują ogromnie;
Oni chytrość też znają,
Tam po szafkach chowają;
Jak ich złapiesz, to przywiecz tu do mnie!

Ty, trzeci, nie znasz miasta?...
Lecz to głupstwo i basta!
Policmajster udzieli ci rady,
Znam się na tych ja ptakach!...
Szukać tylko w „kabakach",
A sprowadzisz tu całe gromady!

Skończył. A trzej opryszki,
Czując pensji podwyżki,
Pewni siebie i pełni nadziei,
„Weźmiem ich" — wykrzyknęli,
Przy oddziałach stanęli
I znikneli w śnieżystej zawiei.

Kilka godzin minęło
I już świtać poczęło,
A z wysłanych nikt jeszcze nie wraca —
Stary łapy zaciera
I wciąż w okno spoziera:
„Nie daremna to będzie ich praca!"

Wtem ze śnieżnej zamieci
Do komnaty maż wleci,
Zbłocon srodze i znużon zła drogą,
„Ha?... Diakonow... Cóż w mieście?
Wzięliście sto, dwieście?"
„Naczelniku... nie wzięto nikogo!"

Znów podwoje skrzypnęły —
Dwie postacie stanęły,
Ze zmęczenia tchu złapać nie mogą...
„Ha?... Wam to nie uciekli?
Z kabaków ich przywiekli?..."
„Naczelniku!... nie wzięto nikogo!"

A rankiem trzeci wpada;
Twarz zmęczona, blada,

Z oczu smutek głęboki mu strzela...
Stary już go nie pyta,
Machnął ręką i kwita,
I z rozpaczy się urżnął jak bela!...

W imperium: nie oszczędzać nabojów! Na froncie japońskim: oszczędzać naboje!

Fragment piosenki

(Na melodię: „Leci pies przez owies")

Lże jak nigdy przedtem
Prasa urzędowa,
Cóż się ma krępować,
Gdy jest „wolność słowa"?

Jest też „wolność związków",
A więc wielokrotnie
Już zawiązywali
U nas „czarną sotnię".

Tłuste lata. Początek chudych lat.
Rys. H. Nowodworski

Budząca się kwestia polska.
Rys. W. Wojtkiewicz

O REWOLUCJI

Bankierski złodziej ciułał zysk,
Strzegła go carską konstytucja —
Aż mu Okrzeja rzucił w pysk:
„Niech żyje polska rewolucja!"

Kler z ambon ryczał: „Antychrysty!"
I bił się kornie pięścią w brzuch,
„Kto chce utracić wzrok i słuch,
Niech słucha tego socjalisty!"

Pop się natrząsał z naszych ran,
W cerkwi się kiwał jak najęty,
Powtarzał w kółko: „Boże święty,
Niech żyje najjaśniejszy pan!"

Szpieg carski węszył, anioł—stróż,
Stąpał za nami wrogi cień
Póki go cicho krwawy nóż
Nie trafił mściwie w mleczny rdzeń...

Kaznakow w Łodzi, carski zbir,
Z jaśnie paniusią polską wraz
Pod rękę szedł na owy czas,
Gdy trumnę Polski zdobił kir.

Kaznakow łódzki, carski pies,
Ostentacyjnie był proszony
Przed jasnogórskie feretrony,
Gdzie mnich był panem złotych kies.

— — — — — — —

A dziś jedyna to ofiara —
„Glinlana świnka" żebrać musi
Dla tych, co uszli z rąk kostusi,
Bo pominęła ich szubienic kara
I zdychać muszą gdzieś na słomie
O rewolucyjni weterani...
O weterani — wyterani...

1908

Car — ojczulek Rosji.
Rumuński rysunek satyryczny